

3975/86

1939 R.

Nr. 179

MARZEC

NAOKOŁO ŚWIATA



CENA

Zł. 1.50



Wymowne ręce Willego Forsta, reżysera Tobisu. Fot. Polski Tobis

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

„Szanuj swą młodość i urodę” — oto hasło przewodnie, przyświecające obecnie niezliczonym rzeszom kobiet na całym świecie. Użycie kremów, pudrów, płynów, maści i t. p. środków kosmetycznych rozpowszechnia się niesłychanie wśród wszystkich sfer.

Z tego względu uważam, iż pewne wskazówki w tej mierze zawsze przydadzą się paniom — pogadankę obecną zamierzam poświęcić temu ważnemu zagadnieniu, jakim jest pielęgnowanie cery.

Cera jest najdroższym skarbem pani — pielęgnować ją należy umiejętnie, a więc rano umyć ciepłą wodą z otrybkami *Abaridowymi*, które zapewniają gładkość skóry i przyspieszają obieg krwi w naczyniach krwionośnych na twarzy, co przyczynia się do elastyczności mięśni i świeżości naskórka.

Potem — na wilgotno — to ostatnie jest ważne — należy wetrzeć trochę kremu, rozcierając go lekko od nasady nosa w górę, w kierunku uszu i skroni.

Wybór kremu decyduje o cerze pani: wszystkie kremy, preparowane na podstawie tłuszczów zwierzęcych, nawet rafinowanych szlachetnie — nigdy nie będą miały tego działania, co krem, pochodzący z przetworów roślinnych. Z kremów tego typu prym trzyma *Abarid*, sporządzony z wyciągu galaretowatego cebulek lilii białej — może on też być polecany wszystkim paniom, pragnącym mieć płeć jasną, matową, czystą od wszelkich plam, wyprysków, wągrów i t. p.

Oprócz powyższego kremu niemniej godnym polecenia jest *Seta-krem*, służący jako doskonały podkład pod puder — niezbędny dla pań o skłonnościach do tłustej cery, gdyż on ją matuje, utrzymuje warstwę pudru bez względu na zmiany atmosferyczne. Pudrowanie jest ostatnim ogniwem w łańcuchu czynności pielęgnowania cery, powtarzam — puder pielęgnuje cerę, nie tylko ją upiększa. Oczywiście, dzieje się to wtedy tylko, gdy możemy być pewni, iż nie zawiera trujących domieszek metalicznych, jak ołów, bizmut, biel cynkowa i t. d.

Laboratorium „Perfection”, wierne swej zasadzie sporządzania kosmetyków tylko z przetworów roślinnych, produkuje doskonały gatunek pudru, t. zw. *Abarid*, który każda z pań może zastosować do swej cery, gdyż wyrabiany jest w rozległej gamie aż 14 odcieni.

M-me Ercèdes

T R E Ś Ć N U M E R U

<i>Czesław Bączkowski</i> — Z wędrówki z za Olzia	4
<i>Milo Urban</i> — Skok w przepaść	9
<i>Korsyka</i>	17
<i>Eug. Szermentowski</i> — Przygoda w hotelu	20
<i>Fabrizio Altona</i> — Problem	25
<i>Angelo Gutti</i> — Ojciec i syn	29
<i>Wojciech Walczak</i> — Helsinki — białe miasto północy	34
<i>L. B.</i> — Rozbite lustro	43
<i>J. M. Dwylr</i> — Złota noga	51
<i>M. Ciąglińska</i> — Jeden dzień w St. Cloud	65
<i>Maria Zwaryczowska</i> — „Z poza granic naszych świadomości“	69
<i>Rozrywki umysłowe</i>	78

Rysunki — *M. Ciąglińskiej i M. Sześcińskiej*

Na okładce — *Emil Janings*, w roli prof. Roberta Kocha Fot. „Polski Tobis“

Cennik ogłoszeń: $\frac{1}{4}$ strona zł 800.—, $\frac{1}{2}$ str. zł 450.—, $\frac{2}{3}$ str. zł 250.—,
 $\frac{1}{8}$ str. zł 150.—, $\frac{1}{10}$ str. zł 100.—.

za wiersz milimetrowy jednoszpaltowy lub jego miejsce zł 2.50.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 5-22-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką

zł 3.50 — za granicą zł 6.50.

Zeszyt pojedynczy 1.50 zł.

*Rękopisów i fotografii nie zamówionych Redakcja nie przechowuje
i nie zwraca.*

Redaktor BRONISŁAW BRENER. T-WO WYD. „DROGA“ sp. z o. o.

Druk. Wacław Zajęczkowski, Chłodna 37, tel. 669-46.



NAOKOŁO ŚWIATA

Nr 179

MARZEC

ROK 1939



*Krystyna Soederbaum i Raimund Schelcher w „Nieśmiertelnych sercach”
fot. „Polski Tobis”*



Huty w Trzyńcu

Z wędrówki z za Olzia

W GOSPODZIE.

Stoję przy ladzie i obserwuję. Na głównej sali siedzą robotnicy nokoło stołów, nad bębami piwa, podparszy kulakami podbródek, na sam nos prawie nasuniętą czapą, przy pustych, ofuciałych kuflach — zdawałoby się i rzekłbyś, że drze-
mią.

Przy głównym stole trzech sto-
szych żywo nad czymś dyskutowali,
przy dymiących fajkach i cygar-
kach. Jeden potężny w barach po-
trząsł nożem niczem mieczem o-
brońca Islamu po aneksji Abisynii
i gromko wykrzykiwał twierdzące,
teutońskie ja, ja. Drugi mały, krępy
potakiwał mu co chwila i popijał
dużymi haustami karwińskie piwo.
Trzeci przesuwiał w zębach tleją-
cego papierosa i milczał z „ponuro-
ścią” jakiegoś Longinusa Podbipię-
ty“.

Oglądam się po sali. Wiszący a-
bażur, ubrany w wypłowiałe, nie-
bieskie paski bibułki, chwiał się
jak gdyby jakiś skomplikowany me-
chanizm wprowadzał go w ruch.
Gospodarz, schowawszy po same
napiastka ręce w kieszenie okrażał
dużymi krokami sale, przystawał
przy stolikach, mówił poklepując
po ramieniu i odchodził rzucając:
ja, ja. Raptem rozwarły się na ca-
łą szerokość drzwi i wpadła nie-
zgrabnie uróżowiona, młoda, dostoj-
nie ubrana dziewczyna, rzuciła
wzrokiem tu i tam, starzy od stoli-
ków wytrzeszczyli zęby, uśmiecha-
jąc się; mimo woli przypomniaty
mi się stare konie, które jak się
śmieją wystawiają swe długie, płas-
kie zęby. Oni byli tak podobni do
tych starych koni. Dziewczyna po-
deszła do bufetu i coś cicho mówiła,
potem, nie oglądając się, wybiegła

z sali. Młody hutnik również wstał od stolika i wyszedł, przeciągając się.

TRZYNIEC.

Las kominów. Piętnaście tysięcy robotników. Piętnaście tysięcy potęgi polskiej. Trzyniec szumi i dudni dzień i noc, bez wytchnienia, okrągłą dobę bez przerwy tętni rytmiczny oddech tego kolosa. Tysiące ton produkcji. Tysiące dzwonią w uszach, głowa nabrzmiewa tysiącami, krew bębni radością i dumą... Stoję i patrzę — kłbowisko rur, las kominów, szkielety rąsztowań, skrzypiące wózki tworzyły zorgani-

zowany kompleks myśli ludzkiej, a jak jeden z wyznawców cywilizacji technicznej powiedział — „cementowaną jednostkę na szachownicy życia”.

Teraz patrzę na stożek piramidalny, po którym wspina się żelazna gąsienica, a poniżej płynie ku górze wagonik, zsypując suchą szlakę żelaza. Pył lśnił w słońcu i mienił się grą barw akwamaryny. Patrzałem tak długo na olbrzymi labirynt skomplikowanych budowli, ponad które wyrastał las kominów i wszystko to zamieniało się w dziwny świat baśni - czarów: lał się strumień krwawego żelaza, niektó-

Historyczny most w Cieszynie





Ratusz w Frysztacie

re rury przybrały kształt szyi żyrafy a ludzie gnomów.

A obok włókł się posępny zmierzeh niby ciężarny troską hutniczej braci. Na starych baldach leżał poczerniały żnąg. Darła się przeraźliwie syrena, szły gęsim lab-cuszkiem hutnicy do pracy.

OKOLICE TRZYŃSCA.

Nicco dalej za hutami zaczyna się inny Trzyniec; nazwijmy go Trzyńcem Nr. 2. Białe domki, rozłożyste wille na tle jabłonkowskiego Beskidu, rozrzucone. Domki o swoistej fizjonomii stylowej, okolone ogródkami stały w ciszy i spokoju. Tu i ówdzie w otwartych oknach leżały stosy połuszek, migaly czepki pokojówek, lub stały roznegliżowane panie, rozkoszując się świeżym powietrzem. Hen! daleko po zboczach pnące nędzne pólka „skalicianów“, a jeszcze dalej omglone szczyty Beskidu i przed oczami rozległy, biały świat. Uciekał dzień spłoszony przez zmierzeh i nadochodząca noc. Pokładły się niebi kicnie drzew, a po rozróżnym bezbrzeżu wyszły włóczyć się smęci.

Kocioł gazometru i kopiec ze szlaki żelaza





Sanatorium w Jabłonkowie

Te cienie przypominały mi Plac Marszałka, pomnik ks. Józefa i jego potrójną sylwetkę, rysującą się na ścianach Sztabu Generalnego i na małym placyku przy grobie Nieznanego Żołnierza...

Fotografuję pięknie ośnieżoną choinę, szemrzącą po kamienistym podłożu rzeczółkę. Gawędzę przygodnie z jabłonkowskim góraliem, który wioził spętane dwa świerki i ruszam na Frysztat, przez Cieszyn. Łąki i Darków, aby we Frysztlacie podziwiać ratusz z XVI wieku z godłami Piastów, wyczytywać z trudnością polskie nadpisy w farze frysztańskiej, mocno zatarte przez czas i humanitarną akcję czeskiej macierzy szkolnej. (Matice Osviaty Ludovej).

SCHRONY.

Wzdłuż mej trasy od Łąk aż po Frysztat wśród wzgórz i pagórków ciągnie się sznur betonowych schronów. Ze zwalów ziemi i maskującej darni spoglądają najsmutniejsze pomniki czeskiej niemocy du-

cha. Biegną wśród wzgórz, kryjąc się w fałdach terenu, migocą białymi czapkami swych głów.

CZESŁAW BĄCZKOWSKI

Wieża Piastowska w Cieszynie





„Batwan” Krystyna Soederbaum. Fot. Polski Tobis



SKOK W PRZEPAŚĆ

On był młodym, zaledwie świeżo upieczonym nauczycielem, a Ona młodą dziewczyną córką Pawła Wabana, On uczył, a ona, ponieważ Wabanowie mieszkali najbliżej szkoły więc codziennie, rano i wieczorem nosiła mu w wielkim, kwiecistym garnku mleko.

On, Viado Klan, od dziewcząt stronił, a ona gdziekolwiek idąc, kołysała się na szerokich mocnych krzyżach. Zdrowe, słońcem opalone nogi, połyskujące świeżością jak bułkowe stylisko, przykładala do ziemi pomału i cicho, ponieważ zawsze była bosa. Dlatego Klan właściwie nigdy nie słyszał, kiedy do niego przyszła. Pukać to nie pukała. U nich wchodziło się wprost, bez pukania, nie wiedziała zresztą nawet w ogóle o tym, że się puka.

Zwykle tak bywało, że Vlado Klan słyszał jej głos dopiero wtedy, gdy stała już na progu i z uśmiechem na szerokiej twarzy, mówiła:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry Anica — odpowiadał.

Stała zmieszana z kwiecistym garnkiem w ręku, a on nie wiedział, czy rzec coś jeszcze, czy po prostu garnczek wziąć i mleko przelać. Ale kiedy czuł, że tego co powiedział było mało, zwyczajnie mimo woli jakoś dodawał:

— Mleko?

— Mleko — śmiała się Anica.

Byłby niechybnie więcej powiedział, bo Vlado Klan mówić umiał, ale na twarzy Anicy było tyle oddanej pokory, jakiegoś niewolniczego oczekiwania, że Vlado Klan

odnosił wrażenie, iż ta szeroka szczerą twarz, dałaby się miesić jak kawał ciasta. To budziło w nim lęk i przerażało go. Brał mleko bez słów, wypłukał garnek, a Anica, powiedziawszy „z Bogiem“, szła do domu. Tym czym się zaczęło, byłoby się skończyło, gdyby... nie...tak. Gdyby Vlado Klan nie był z tych ludzi, którzy się nad wszystkim zastanawiają i wszystkiego chcą dociec. Vlado Klan, chociaż to nie miało w ogóle znaczenia, poważnie zamyslił się jakoś i doszedł do wniosku, że Anica odchodzi od niego bardzo prędko, prędzej niżby według zwyczajów towarzyskich powinna. Mleko mu nosi, a stara Wahanowa pieniędzy nawet przyjąć nie chce, mówiąc:

— A tam zaś jeszcze, może za mleko. Przecieżby mi Pan Bóg nie pobłogosławił, jakbym za pieniądze dawała. Mamy mleka Bogu dzięki dość...

Dobrzy ludzie, dobrzy sąsiedzi... On przeleje, wypłucze, poda i Anica, kołysząc się na szerokich, mocnych krzyżach, odchodzi. Tak. To tak wygląda jakby on był dziwakiem, odludkiem, jakby nie potrafił nawet miłego słowa powiedzieć. A to znów... Nie. Przecieżby i on gdyby... Ale dziewczyna... Dlaczego stara nie przyjdzie, tylko dziewczynę posyła?

Może to był haczyk? Vlado Klan był w bojaźni chowany. W domu rodzice, a w szkole profesorowie, wspólnymi siłami postawili w jego życiu okropne straszidło czarnych przepaści, w które nieostrożny przechodzień wpaść może i ocknąć się dopiero, gdzieś na dnie piekła. Ciężkie, obrazowo podawane traktaty o szóstym przykazaniu, bożym, rozmaite przykłady z biblij, ustawiczne wspomnianie Sodomy i Gomory, niepewnych dróg świeckich rozkoszy, wytworzyły w Klanie to straszne przekonanie, że kiedykolwiek pomyślał o kobiecie, widział zerwa-

ny most, a pod nim czarną przepaść, która nie miała dna, nie miała końca.

Vlado Klan, choć dwadzieścia pięć lat rozhukanych śpiewało w jego żyłach, z niedowierzaniem patrzył na wszystko, co miało spódnice. Owładał nim jakiś niewysłowiony, dziwny strach. Dlatego obojętnym, rytmicznym, głosem pytał: „Mleko?“. Płukał kwiecisty garnek, oddawał Anicy, a ona powiedziawszy „z Bogiem“ odchodziła do domu.

Odchodziła. Ale w tych odwiedzinach brakowało czegoś ludzkiego, naturalnego. Brakowało czegoś, co by to mleko uczyniło mlekiem, czymś niezbędnym do życia. I zamyslił się Vlado Klan znowu. Po długim zastanowieniu doszedł do wniosku, że wobec Anicy powinien być bardziej towarzyskim.

I stał się bardziej towarzyskim, choćby i dlatego, ponieważ przekonał się, że to nie wymaga specjalnego kunsztu i że Anica nie może być dla niego żadnym uosobieniem niebezpieczeństwa. Śmieszne. Kiedy stała na progu, z pokornym uśmiechem, rozlewającym się po szerokiej twarzy, była raczej godna politowania. Ręka z kwiecistym garnkiem opadała wzdłuż ciała, oczy rozszerzone wpijały się cheiwie w usta Klana i wisiały na nich, jak dwie spragnione pijawki. Dlatego rozmowa, która kiedyś kończyła się na mleku, przedłużyła się o cały szereg pytań i odpowiedzi.

Klan na przykład pytał się:

— Jakże tam Anica, jakże?

— Dobrze panie nauczycielu — odparła.

— Co robicie?

— Orzemy. Prawie dziś wyszli pierwszy raz. Wieczór będzie oblewanie.

Był to zwyczaj, powracających z pierwszej orki oblewano, aby urodzaj darzył się większy. Vlado Klan

wprawdzie nie oblał nikogo, ale drugiego dnia pytał Anicę:

— Kogoście wczoraj oblewali?

— Kogo się ino dało. Wzięłam wiadro i dalej od kraja.

— Hm... To tyś taka odważna?

— Dlaczego?

— A no tak oblewać.

— O to u nas każdy — przeciągnęła Anica.

Wlokło się tak dość długo. Klan się pytał, a Anica odpowiadała, o choczko, uprzejmie i trochę wstydliwie, ale te wahające odpowiedzi, uderzające podobne do cichego, kołyszącego chodu Anicy, miały jakąś dziwną siłę. Wiązały i wrzynały się w pamięć. A kiedy odeszła, zdawało mu się, że wciąż jeszcze, stoi tam na progu, z kwiecistym garnkiem i mówi coś bardzo długo, przeciągając słowa...

Raz idąc po wodę, spotkał ją Włodo Klan na podwórzu przy studni. Studnia należała do obu domów, tylko od Wahanów prowadziła do niej bramka przez stodołę. Kiedy przyszedł, Anica ciągnęła wodę i mimo sprzeciwów napełniła jego konewki, potem bez wahania chwyciła je i chciała odnieść do szkoły.

— Cóż ty wyprawiasz Anica? — krzyknął.

— Ciężkie są, odniosę panu — rzekła z przekonaniem.

— Cóż myślisz, że nie mam siły?

— Ale panu nie przystoi!

I odeszła mimo protestów. Klan oparty o studnię, patrzył na nią bezradnie. Kolysała się w szerokich mocnych krzyżach, ręce napięte, trzymała konewki, a nogi podobne do dwóch bukowych słupków, przykładając ciężko do ziemi.

Na dworze leżał zielony wiosenny zmierzch, przesycony zapachem ziemi i Anica podobna była do głazu, który spadł ze stromego kopca, za którym słońce gdzieś jeszcze świeciło. Dziwne to było. Dziwne i zawstydzające trochę. W kobiecie nauczyli go widzieć złośliwe stworzenie, która patrzy tylko, jakby ugryść i dlatego jest niebezpieczna. A Anica, która mogła naprawdę gryść i mocnymi rękami łamać na dwoje, niesie mu dobrowolnie dwie konewki wody do domu.

To Klana rozbroiło jakoś, ciepłą ręką przeszło po duszy, owiało go świeżym wietrzykiem nowych przejawów życiowych, nowymi możliwościami. Tu słowa były jak kawał chleba, podawanego na gołej dłoni. Trzeba było jeno przyjąć i odplacić się, też tak: na gołej dłoni.

Klan ani spostrzegł, jak się za-



palil. Mała, suchotnicza niegdyś duszyczka, poczęła się rozwijać, puszczając setki nowych, mocnych pędów.

Było to z końcem wiosny.

Buczyna się zieleniła.

Klanowi mleko wybornie smakowało. Anica z kwiecistym garnkiem w ręku, długo wystawała na progu, ale Klanowi i tego było mało. Wychodził z nią na dwór i tam jeszcze długo mówił. W końcu wyszła i stara Wahanowa, a wtedy rozmawiali i śmiali się we troje.

To przecież jasnym było. Klan był sam, daleko od matki.

Język miał, obracać nim potrafił.

Dni były piękne, pełne szorstkiej trawy i młodych miękkich liści, którymi pyszniła się natura, a i ludzi rozpierała młodość. Noce rozpływały się w ciepłej ciemności. Ludziom w czasie tych nocy mięśnie napinały się w mocnym tworzeniu, a skóra niewidzialnym ogniem paliła.

Było to życie, przetkane jednym olbrzymim spletem komórek, nabitych ruchliwym sokiem, życiem roślin, zwierząt i ludzi.

Vlado Klan utonął w niem dosłownie. Nawet nie spostrzegł, jak wieś opłothła go, schwyłała tysiącem drobnych macek i przycisnęła do siebie. Uczył dzieci, w niedzielę grał na organach w kościele i śpiewał, wieczorami zaś, chodził po wsi i gwarzył to o tym, to o owym. Nauczył się gęsykulować i kłąć kiedy było potrzeba, spluwać i stroić żarty. W tym zalewie śmiałych soczystych słów, sztucznie sprezyzowane zdania ze szkolnych podręczników, — pierzeły gdzieś, a Vlado Klan czuł się teraz, jak jodła na polanie. Spostrzegł, że życie nie jest paragrafem, że nie istnieją dla niego żadne prawidła, że to wszystko, co się o życiu gada, jest kłamstwem. Istnieje życie, w nim ludzie, a wszystko inne to zabawki, które so-

bie ludzie wedle potrzeb zmieniają i ustawiają.

Widział to.

W końcu pojął. Nie rozumowo. O nie! Z ziemi, po której stąpał, weszło mu w żyły, wlało się w komórki i przenikało na wskroś. Było to coś organicznego, żywiołowego, przeciw czemu rozum darmo się opierał.

Potem kiedyś, było to w czerwcu, kiedy koszone trawy, wyszedł Vlado Klan w pole. Tak tylko, bez czapki, w rozpiętej marynarce, jak chodzą młodzi ludzie, dorodni parobcy. Zielone życie, zielonymi rękoma wabiło ze wszystkich stron, owiewało go upojną wonią i szeptało do uszu zielone słowa. Słońce wyciągnęło srebrzyste ramiona, a Vlado Klan czuł jak go drażni po całym ciele, gładzi, tak, że chciało mu się podskoczyć w górę i krzyknąć na głos, jak to czynią mali chłopcy. Był to istny zalew radości. Kosiarze śpiewali na przemian z grabarkami, poganiacze krzyczeli na woły... Vlado Klan spity życiem, szedł długo. Widział dużo, ale czuł jeszcze więcej, nie zdawał sobie jednak sprawy co widzi, ani co słyszy. Szczyło się w niego, a on czuł, jak mu się piers wypina, a nogi mimo woli pędzą gdzieś naprzód. Nawet nie wiedział gdzie się znajduje, ale znany głos wyrwał go z tego upojenia.

— Gdzież to, gdzie, panie nauczyciel? — zasrebrzyło się w powietrzu.

Spojrzał w tym kierunku. Stał na siwej, stromej drodze, a nad nią wyżej jeszcze, na zboczu obrosłym wokół leszczyną, stała — Anica. Czerwony gorset płonął na niej, spódnica z modrego materiału nadęła się, a nogi połyskujące w słońcu, jak dwa mocne korzenie wpiły się w ziemię.

Nie, to nie była Anica. To był olbrzymi, dziwny kwiat, który wys-

trzeliał na tej uboczy i jaśniał, gorzał, jak olbrzymi zapalony snop. Vlado Klan nie mógł dobyć słów. Patrzył z podziwem. A ona przyłożyła ręce do ust zawołała:

— Chodźcie mi pomóc.

Spokojnie, radośnie, przebiegło polem to wołanie. Ale to nie było tylko wołanie. To był rozkaz, konieczność. Vlado Klan pobiegł. Za chwilę zdyszany, spocony stał przy Anicy.

— Pomóc? pytał, łapiąc powietrze.

— Przecie nie ma pan innej roboty — odpowiedziała śmiejąc się. Składała siano w kopy. Vlado zrzucił marynarkę i zaczął jej pomagać. Nosił pełnymi naręczami. Było jak morze. Utopić chciało się w nim, tak pachniało, dziwne, kruche i radosne, kryjące w sobie tajemnicę ziemi i pól. Istniał między nimi, a ludźmi jakiś tajemniczy stosunek,

związek krwi. Tak, była to zielona krew, potężnego kołowrotu życia, która się przewala całym organicznym światem, która dobywa niezliczone mnóstwo komórek i nowych radości. Ta krew zielona z uboczy powędruje w bydło, z bydła w ludzi, a z ludzi na ubocz i tak wkoło póki nie zgaśnie słońce.

W tej woni zielonego siana, Vlado Klan rozdygotany, nie wiedząc jak, przytulił się do Anicy. Stało się to już przy ostatniej kopie. Oboje przynieśli naraz po naręczu, i gdy je składali, ciała ich gorące, podrażnione krwią zetknęły się, jak błysk, który w tej przedziwnej, zielonej atmosferze zamroczył ich. Nie wiedzieli co się dzieje. Spojrzeli po sobie. Długo patrzyli rozszerzonymi oczyma, gdy w tem Vlado Klan chwycił Anicę i przycisnął do siebie, — i zaczął całować. W pewnym momencie pocałunki zmieniły





się w dławiące uściski, ciała ich sprężyły się — zachwiali się — i padli na ziemię.

Vlado Klan tego wieczoru wrócił do domu zdenerwowany. Był roz-targniony. Myślał o tym, potem znów o owym, ale z wszystkiego biło to przenikające uczucie, to nie-ruchome sprężenie ciała, które było zarówno rozkoszą, jak i bólem. Czuł, że się coś załamuje pod jego nogami, trzeszczy, a jednak: myśl jego pociągała ubocz, Anica podobna do płonącego snopa i ten upojny pocałunek. Tak to było: serce pęczniało z rozkoszy, ale rozum przekornie dźwigał się w głowie i groził ostrzegająco: Vlado, Vlado!.. Uwważaj!...

Vlado Klan siadł na schodkach szkoły i zaczął dumać.

— Dlaczego uważaj? — pytał siebie — czy inni nie całują, czy inni nie kochają? Przecież nikt nie musi...

Chciał siebie pobić jakimś mocnym argumentem, ale czuł, że gdyby go nawet znalazł, nie mu nie pomoże.

— Ilu ich to mówiło... uśmiechało się w nim to drugie, skrzywionymi ustami.

— Ci wszyscy byli słabeusze — oponował Klan.

Przyjemnie mu było myśleć, że on będzie właśnie silny, on, który przeemoże pokusę. Nie ci są mocni, którzy unikają pokus — cytował z jakiejś książki — ale ci, którzy narażając się na nie, — przewyciężają je.

Czuł już niemal rozkosz zwycięs-cy.

— Jedna jest tylko prawda, jedna, — wołała krew Klana — żyjesz, więc czyni co każe życie.

To drugie w Klanie ulękło się. Ale nie traciło nadziei. Schyliło się do ucha Klana i szepnęło straszne słowo:

— Przepaść.

— Przepaść... powtórzył Vlado Klan.

I wyrosła przed nim przepaść. Przerwany most, a pod nim prze-paść nieskończona, taka, jaką mu katecheci w szkole przedstawili. Zrobi krok, potknie się, wpadnie w nią i leżeć będzie wiecznie...

Nie będzie już Vladem Klanem. Nie będzie należał do siebie. Coś z tego wiecznego, z tego żywego do-stanie się poza niego i zacznie się jakieś okropne wrzenie, życie no-

wych jednostek, nowych pokoleń, nowego przelewania się żywej materii, tragizmów i uśmiechów, społecznej grozy i cichych idylli. Gdzieś w mgłach dalekiej przyszłości stały już szeregi złoczyńców, morderców i mnichów, głosicieli słowa bożego, roje szaleńców i genialnych wynalazców, Arystotelesi, nowi Neronowie, Lindbergowie i Hartinanni, spokojni wieśniacy i niespokojne tłumy wielkomiejskich peryferyj. Coś groźnego. A Vlado Klan stał między nimi, jako protoplasta, jak oś, która roztoczyła swe olbrzymie groźne kolisko. W tym strasznym wirze, tak dziwnie wyglądało jego krótkie bezpretensjonalne nazwisko...

Tak dziwnie płonął czerwony gorset Anicy...

On i ona. On młody nauczyciel, a ona młoda dziewczyna po Pawle Wahanie...

Przyszli skądś i kwiczysty garnek ich złęczył. Śmieszne, Ale skąd przyszli? Czyż oni też nie należeli do takiego groźnego koliska?

Na wieś tymczasem siadała noc. Spokojna letnia noc, w której cicho marły terkoty wozów i ludzkie pogłosy. Żółte światelka ciekły jeszcze miejscami z okien, w prochu dróg, podskakiwały leniwie żaby, a na podwórzach od czasu do czasu poszczekiwały psy.

Vlado Klan westchnął i utkwiał wzrok na szopie Wahanów. Stała na ziemi mocno, prosta, jakby jakieś naturalne prawo. Nie chciało się wierzyć, że to szopa, ale niósł się stamtąd zapach siana — zielonej krwi.

Vladowi przyszły na myśl: ubocz, Anica, i pocałunki. Wstał i niepewnie, z wahaniem, jak lunatyk ruszył z miejsca. Przyszedł pod studnię, potem pod bramkę, wiodącą na podwórze Wahanów, ale nie zdawał sobie sprawy pogo tam i-dzie...

— Przepaść — tańczyło mu w głowie jedno słowo.

Chwycił wrota, pchnął je, ale poczuł, że równocześnie z drugiej



strony, też próbuje je ktoś otworzyć. Otworzy się pomału, jakby nieśmiało.

Za nimi stała Anica.

Przelekli się. Chcieli krzyknąć ze zdziwienia. Chcieli się usprawiedliwić, ale gardła ich nie mogły dobyć głosu. Anica wstydliwie odwróciła się, a Vlado Klan ruszył za nią. Tak bez słów, stanęli pod drabiną w stodole i bez słowa wyszli na szopę do pachnącego siana, w zieloną krew. Tylko z pod drabiny, ktoś niewidzialny zawołał:

— Przepaść!... gdzie tam idziesz?

Ale Vlado Klan już tego nie słyszał. Wszedł w ciepłą ciemność, jak się do domu wchodzi. Szedł, w

ciemności ta przepaść nie była ani czarną, ani groźną. Była prostą i naturalną, bez pytań i odpowiedzi, jakimi są w ogóle wszystkie rzeczy naturalne na świecie. Nie pytał się ojciec Vlada Klana, Andrzej Klan i nie pytał się też Vlado Klan. Nachylił się i — całym swoim młodym ciałem, — rzucił się na nią. Rzucił się w przepaść.

Rzucił się tak, jak się rzucali od nie pamiętnych czasów przodkowie Vlada Klana, Ondrej Klan i inni...

MIŁO URBAN

ze słowackiego przełożył

Antoni Brosz

rysunki M. Cigglíńskie





Piana

K O R S Y K A

Wyspa Korsyka jest ziemią francuską, ściśle spojeną z macierzą. Wiadomo, że wielka sympatia między lądem i wyspą nie ustąpi nigdy. Uczeń wielu gałęzi wiedzy: przyrodnicy, historycy, powieściopisarze, literaci, lekarze — wszyscy mają szczególny kult dla Korsyki, wszyscy chcieliby widzieć ją w swej świetności, o czym mówią liczne prace o krajobrazie, plantacjach, zwierzętach, bogactwach mineralnych, pięknym położeniu, historii i łagodnym klimacie.

Prawdziwy urok tego małego kraiku pozwala nazwać go „Wyspą piękności”. Określenie to, które jest bynajmniej bez przesady mogłoby towarzyszyć innemu: „Korsyka, kraj turystyki”.

Z pięćset kilometrów wybrzeżem, którego trzy czwarte są

niesłychanie różnorodne i malownicze, Korsyka posiada 400 kilometrów dróg żelaznych i więcej niż dwa miliony kilometrów dróg bitych. Ta sieć niw, lasów i pagórków niemal na każde wejście zachwyca i zadziwia.

Przybycie do Ajaccio, stolicy Korsyki, w której światło dzienne ujrzał Napoleon Bonaparte, jest wrażeniem nie do zapomnienia. Na pełnym morzu, w rannej mgle zatracają się w dali brzegi wyspy, dziwny jakiś zapach przenika statek. To mirt i rozmaryn, od których zapach roznosi wiatr.

Dzięki swemu położeniu i ziemi granitowej, zabezpieczony od zimnych i wilgotnych wiatrów wysokimi górami, Ajaccio jest znane już od wieku jako idealna stacja zimowa klimatyczna: temperatura



Èoisa

wynosi 14° i atmosfera zimowa jest nadzwyczaj łagodna.

Zima tam jest wiosną, wiosna latem, a lato zawsze łagodne i dzięki sprzyjającym wiatrom przedłuża

się tam aż do listopada. Jest to miejscowość kąpieli morskich i słonecznych, z licznymi plażami czystego piasku, licznie odwiedzana.

Co można zobaczyć w Ajaccio?

Ajaccio



Najpiękniejszą przystań świata — plesdrogę wysadzoną grobami — jak szlak Apienne i, jeśli chodzi o pamiątki historyczne, dom Napoleona, szczyt Pozzodiborggo zbudowany z kamieni Tuilleries: ostatnio wzniesiono w Ajaccio pomnik Cesarza

Bonifacio, z wielkimi starymi fortami, z mostem zwodzonym, krętymi uliczkami, schody króla Aragon, to najbardziej malowniczy pejzaż.

W końcu Propriano — to kraj rybolówstwa i łowiectwa.

Calvi miasto „Semper fidelis”, z którego można podziwiać kotłinę niezerównanych gór, ponad którymi wznosi się dumnie le Monte Cinto otoczone wiecznymi śniegami.

Nie można zapomnieć również o

Bastii, która jest ośrodkiem przemysłowym i handlowym wyspy.

Stare miasto pełne marmurów, z jego mieszkańcami patrycjuszami, świadczy, że nie panuje tu niedostatek.

Od Bastia, w kilka godzin znajdziemy się w Cap Corse.

W Lari, lub Cervine oglądamy starą Bazylikę i antyczną stolicę Rzymian Algeri, przechodząc wśród olbrzymich kasztanowców do la Castagniccia.

Pomiędzy Ajaccio i Bastia, w środku wyspy, znajduje się dawna stolica Corte.

Mówiąc o górach Korsyki trzeba podkreślić ich dziki i majestatyczny wygląd, przypominający pejzaż hiszpański.

Bonifacio



PRZYGODA W HOTELU

— Trzy czyste, Waciu.

— Nie — zawołałem, patrząc w lustro, w którym odbijała się postać Jenka Korezyńskiego, rozbierającego się właśnie w szatni. — Nie trzy, a cztery czyste. Oto nasz świetny histrion. Serwus.

Korezyński przysiadł się do naszego stolika ze złą miną.

— Jutro znowu ruszamy na objazd. Wściec się można od tego ustawicznego trzęsienia się w wagonach. *Sacré nom du chien.* — Zaklął swoim ulubionym wyrażeniem.

— Bluźnisz — rzekł twardo Tadzio Grzymala, poeta. Nie rozkoszniejszego jak podróż... Nie wyobrażam sobie bardziej pasjonujących wzruszeń nad te, jakie może dać podróż pociągami. I — wogóle podróż... Rytmiczne dudnienie kół akompaniuje twoim szalonym zamiarom, nadziejom, planom, oczekiwaniom. Przyjeżdżasz do obcego miasta, do innych ludzi. I myślisz sobie: co też mnie tu czeka ... Ale najważniejsza rzecz, to towarzystwo zupełnie nieznanymi ludzi. Pomyśl, ile romantycznych historii może się wydarzyć w podróży.

Pan Waciu, stały dostawca stolika, t. zw. szunnie „stolikiem cyganerii” dyskretnie postawił przed nami wódkę i zakąski z lososiem.

— Nie uwierzcie — ciągnął Grzymala, sięgając do papierošnicy — nie uwierzcie, ile mam zawsze dziwnych przygód w podróży. Jedną była szczególniejsza, namietam...

Widać było od razu, że ma ochotę opowiedzieć ją. Uśmiecha się tylko kącikami ust, zapewne do tej swojej przygody.

— No więc opowiedz, jak to było.

Grzymala wychylił kieliszek i mając jeszcze usta pełne bułki z loso-

siem, zaczął mówić, zabawnie wytrzeszczając oczy.

— Było to przed paru laty. Wyjechałem do Berlina, żeby dla kolonii naszej wygłosić odczyt o najmłodszej polskiej literaturze. W Berlinie stanąłem o zmroku. Miałem ze sobą adres jakiegoś podlego hoteliku na Kurfürstendamm, jakby stworzonego tylko dla poetów przyjeżdżających z odczytami. Pokój dostałem z trudnością i po wielu ceregielach. Przed paroma dniami zamordowano w dość tajemniczych okolicznościach Rathenau'a, ministra spraw zagranicznych. Policja berlińska za ujawnienie zabójcy, wyznaczyła dużą nagrodę. Mówiono, że zabójcą miał być jakiś młody człowiek, brunet prawdopodobnie student i rzekome cudzoziemiec. W mieście zaprowadzono stan wzmożonej ochrony. Rewizje i aresztowania były na porządku dziennym. Właścicielka mojego hotelu do każdego przybysza odnosiła się z nieufnością. Nieufność ta wobec mnie tym więcej była usprawiedliwiona, gdyż byłem młody, cudzoziemiec i... brunet...

Na zegarze korytarzowym była dziesiąta, kiedy zacząłem się rozbierać do spania. W pewnej chwili usłyszałem na korytarzu odgłos kroków. Przed drzwiami sąsiedniego pokoju odbywała się rozmowa przyciszonego głosem, jednak wobec panującej ciszy mogłem ją wyraźnie słyszeć.

— Herr Leutenant — mówił kobiecy głos, w którym poznałem właścicielkę hotelu — das ist ja doch Unsinn... unmöglich. Zupełnie niemożliwe. Może przyjsć policja i będzie miała kram przez pana.

— Mówię pani przecież — odparł

męski głos — że narzeczona moja pozostanie do dwunastej. Do tej pory chyba wolno mi przyjmować u siebie kogo zechcę...

Gospodyni mruczała jeszcze coś pod nosem, w końcu rzekła:

— Na, ist's gut. Ale tylko do dwunastej.

— Oczywiście, najpóźniej do dwunasej.

Rozmowa umilkła. Kroki oddaliły się. Równocześnie w sąsiednim pokoju zazgrzytał w zamku klucz.

Niebawem rozległy się stamtąd kroki i głosy męski i kobiecy.

Nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok. Że też te szelmy nie mogą się trochę ciszej całować. W przerwach on jej plół tysiąc epitetów miłosnych, które przedziwnie śmiesznie brzmią dla postronnego słuchacza.



— Ach du, mein Engel... Mein Schatz. Mein Pueppchen...

— Diabli cię nadali razem z twoją Pueppchen — mruczałem chowając głowę pod poduszkę.

Ale nie. O spaniu nie było mowy. Zapaliłem lampę, wziąłem ze stolika książkę i starałem się pograć w czytaniu.

Zdaje się, że w końcu sen mnie zmorzył. Obudził mnie jakiś hałas na korytarzu. Ktoś tłukł pięścią do pokoju romantycznej pary. Widać dobijanie się do drzwi wywołało tam popłoch. Słysząc było krótkie, urywane, zdyszane wykrzykniki.

Po chwili ktoś dyskretnie stukał do mego pokoju. Usiadłem na łóżku i jałem bacznie nasłuchiwać. Teraz dopiero spostrzegłem, że mój pokój z pokojem tej pary łączy drzwi. Zrazu nie byłem pewny, skąd pochodzi stukanie... Ktoś poruszył klamkę... Wyskoczyłem z łóżka w piżamie i przekręciłem klucz do drzwi, wiodących do pokoju moich niespokojnych sąsiadów.

— Herein — zawołałem.

Drzwi uchyliły się i stanął w nich młody mężczyzna w koszuli, w oficerskich spodniach i w butach, na których błyszczały dziarsko ostrogi. Łomotanie z korytarza nie ustawa-

ło. Facet w ostrogach stanął na baczność, przy jego niekompletnym uniformie wyglądało to dość groteskowo. Zadzwoił ostrogami i wybelkotał:

— Proszę mi wybaczyć... Lieutenant von... — mruknął jakieś nazwisko.

Skloniłem się lekko.

— Pan jest gentlemanem — ciągnął oficer drżącym głosem. — Sprawa jest poważna... Mąż tej damy, z którą mam zaszczyt...

— Rozumiem. Ale czym mogę służyć panu?

— Chodzi o to, aby pan tej damie na dwie minuty pozwolił wejść tutaj.

— Coś podobnego. — Wytrzeszczyłem oczy. Wszystko to bardzo wesołe, ale jeżeli tego męża coś tknie zajrzeć do mego pokoju, to ładnie będę wyglądać.

Po chwili jednak przyszło mi na myśl, że to nie podobieństwo. Gospodarz ma przecież mój paszport. Cudzoziemiec... Więc skądżeby jego żona?

Oficer wciąż patrzył na mnie swoim błagalnym, baranim wzrokiem.

— Niezmiernie mi na tym zależy... (Ba, myślę. Skoro tam dobija się ten drab, mąż...) Więc zgoda? Na dwie minuty...

— Ich bin einverstanden — rzekłem krótko, podkreślając w głosie całą doniosłość sytuacji.

Oficerek w okamgnieniu zniknął.

Stała w drzwiach młoda kobieta. Blondynka (pasjami lubię blondynki) o wąskich, nieco wilgotnych wargach (przepadam za takimi ustami). Oczu jej nie mogłem na razie dojrzeć: były opuszczone.

— Przepraszam pana...

Zamknęła za sobą drzwi. Przekręciłem klucz. Potem ukloniłem się z tą galanterią, na jaką pozwalały mi szerokie nogawice mojej pizamy.

— Mein Mann...



— Domyślam się, droga pani. To drobnostka. Proszę być dobrej myśli.

Podsunałem jej fotel.

Podniosła na mnie oczy i wtedy przekonałem się, że jest naprawdę prześliczna. I że ma niebieskie oczy (niebieskie oczy, co tu dużo gadać — moja słabość!).

Na razie trudno było znaleźć odpowiedni temat do rozmowy. Milczeliśmy więc i tylko w ten niemy sposób mogłem jej wyrazić cały mój zachwyt.

Tymczasem obok w nowej wersji rozgrywała się stara jak świat tragikomedialna ze zdrażdzonym, mężem. Ktoś wpadł do pokoju, tupiąc

okropnie nogami (wszyscy zdrażdzeni mężowie okropnie tupią). Zdzyszany dialog. Urywane słowa. Łoskot. Ktoś krzyknął:

— Schurke!

Potem wszystko zcichło. Jak po wyrwaniu zęba.

— O, widzi pani, już po awanturze. Voilà! Będzie pani mogła najspokojniej powrócić... Czy madame jest zadowolona?

Nie nie odparła.

Schyliłem się do jej ręki.

— Dobranoc pani.

— Dobranoc. I dziękuję...

Szkoda, mruknąłem, że odchodzi.

— Co pan mówi?

— Ubolewam, madame.

Ledwie ująłem za klamkę, ponownie rozległy się kroki, jakieś miarowe, służbiste. Cofnąłem się. Cóż u licha, znowu.

— Jęliśmy nadśłuchiwać. Meldunek czy jakaś rewizja — Czy Lieutenant von... (znowu nie usłyszałem nazwiska). Poprosimy o papiery... Szelest przewracanych kartek papieru. Cisza.

— Pana przepustka, Herr Lieutenant, ekspirowała już. [Proszę się ubrać, jest pan aresztowany.



Obok mnie rozległo się lekkie westchnienie.

— Polizei — szepnęła nieznajoma tonem żalonym i bezwładnie opadła na fotel.

W pokoju słychać było jeszcze głośne protesty i okrzyki. Porucznik szamotał się, prosił, groził.

Ostatecznie wyprowadzili go. Po paru minutach zapadła w hotelu głucha cisza.

— No i co teraz?

Nieznajoma ocierała oczy batystową chusteczką.

— Swoją drogą, wie pani, wielka to niestosowność ze strony pana porucznika...

Wybuchnęła:

— Ma pan słuszność... Naturalnie. Postąpił, jak smarkacz... I co ja teraz pocznę.

— Musimy coś obmyśleć, droga Pani. Sam nie wiedziałem, co należy czynić w podobnej sytuacji). Po chwili dodałem tonem najgłębszego przekonania:

— Zdaje mi się, że obecnie w żaden sposób nie może pani wracać do domu.

Czekałem, co na to odpowie...

— Jakto?

— Oczywiście. Po pierwsze, jak się pani usprawiedliwi przed portierem? Nie puści pani tak łatwo... Po drugie — na mieście jest stan wojenny. Po północy bez przepustki zaarrestują panią. (Właściwie nie wiedziałem, czy ma przepustkę, czy nie ma). A po trzecie...

— Mein Mann! — krzyknęła po raz drugi.

— Otóż to.

Usiadła obok niej i patrzyła w jej oczy.

— Ostatecznie — rzekłem — na coś zdecydować się musimy...

Grzymała podniósł do ust siódmy, czy ósmy kieliszek, zapalił papierosa i milczał.

— No i co — przerwał wreszcie zniecierpliwiony Korczyński. — Czym się skończyło? Przecież ona mogła doskonale udać się do pokoju porucznika.

Grzymała przez chwilę patrzył na niego poważnie, w końcu wybuchnął śmiechem.

— Mogła? pewnie, że mogła...

EUG. SZERMENTOWSKI

Rysunek M. Sześćmiejscowej





PROBLEMAT

Dokładność i punktualność starego i zasłużonego chirurga, profesora Giovanni Chiarini znana była wszystkim jego asystentom, kolegom i podwładnym. Toteż tego ranka, gdy profesor zadzwonił do kliniki, że nie przyjdzie tam wcześniej jak na dziesiątą, powszechne żdziwienie było usprawiedliwione.

— Może jest chory? — Wczoraj jakoś wyglądał niebardzo... Był zmęczony i zdenerwowany — zauważyła jedna z pielęgniarek. Obecny przy tym pierwszy asystent wzruszył ramionami.

— Eh, nie, chory to on nie jest, lecz ma prawdziwe utrapienie z tym swoim synem, z tym jedynakiem, którego teraz musiał aż za

granicę wysłać... Stale mu sprawia kłopoty i nieprzyjemności. No, ale bądźmy dobrej myśli!

To była prawda. Stary chirurg miał poważne przykrości. Właśnie w tej chwili znajdował się w gabinecie znajomego adwokata i był bardziej zaniepokojony i przygnębiony, niż chorzy, którzy zawsze oczekiwali z jego rąk pomocy i ratunku. Giovanni Chiarini przez całe życie poświęcał się wiedzy z zapalem apostoła. Owdowiawszy w kilka lat po ożenieniu się całą swą miłość i uczucie skupił na synu jedy-
naku.

Siedział przy biurku przyjaciela adwokata z siwą głową opartą na ręku i twarzą ukrytą w dłoniach,

podeczas gdy adwokat nerwowo przechadzał się po pokoju.

— Wiem, wiem, mój drogi, że tu chodzi o zwyczajny błąd młodości, o lekkomyślność, i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że te przekłete fałszywe eksle znajdują się w ręku Vittorio Billi! Jestem niemal że pewien, że on to będzie chciał wykorzystać w sposób najbardziej okrutny... To prawdziwy typ drapieżnika. A jednak, radzę ci, abyś się z nim rozmówił. Może znajdziesz jakiś sposób wyjścia z sytuacji... Musisz spróbować.

Tegoż jeszcze dnia doktor Chiarini udał się do biura Vittorio Billi, otyłego, zażywnego handlowca. Billa przyjął go nader uprzejmie i przemawiał do niego po dobremu z pewnym odcieniem nawet goryczy, wywołanej posądzeniem go o złe zamiary.

— Doktorze, niech mi pan powie prawdę, pan sądził, że ja będę spekulować na tym błędzie młodości i na pańskim ojcowskim uczuciu? Kto to wie, jakie rzeczy mówiono panu o mnie!?

— O panu... ależ nie... wcale...

— Niech pan da spokój, niech pan da spokój... Eh, drogi doktorze, w życiu handlowym nieraz trzeba udawać i starać się pozyskać opinię niewzruszonego, nieubłaganego, człowieka o twardym sercu.. Lecz niech pan wie, że potrafię odróżniać ludzi. Wiem, że pan zawsze był człowiekiem uczciwym i szlachetnym i że właśnie dlatego nie jest pan bogatym. Wiem, że syn pana po tym szaleństwie powróci na dobrą drogę. Wiem także że jest zaręczony z piękną dziewczyną, która go ogromnie kocha i napewno uczyni szczęśliwym. A co zaś do pana... oto proszę, tu są te nieszczęsne eksle, które może pan spalić. Wystarczy mi, jeśli mi pan zapłaci dziesięć tysięcy lir jako najprostsze wynagrodzenie za poniesione straty.

Nie miał czasu skończyć, bo doktor chwycił jego rękę z zamiarem ucałowania. A po upływie pół godziny, zamknawszy się w swoim gabinecie, rozmawiał już przez telefon, chcąc podzielić się swoją radością z matką narzeczonej syna.

— Dzień dobry pani! Pani pewno już od razu po moim głosie czuje, że wszystko jest w porządku! Co? Tak, tak... niema się czego obawiać.. I jeżeli Gabriella jeszcze się upiera przy swoim kaprysie...

Gdy tak mówił zdawało mu się, że widzi przed sobą delikatną, miłą, otoczoną jasnymi kędziorkami twarzyczkę Gabrielli, narzeczonej zakochanej do szaleństwa w jego jedynaku. Matka Gabrielli w uwielbieniu swego dziecka była podobna do doktora.

Doktor Chiarini nie zadowolił się jednak rozmową tylko z matką Gabrielli. Tegoż popołudnia udał się ponownie do swego przyjaciela adwokata aby opowiedzieć mu o swej niezwykłej wizycie u Billi.

— Perbacco! Odkrywasz mi dobrą stronę tego człowieka, a ja mówiąc prawdę, nigdy nie podejrzewałem go o to, aby ją mógł posiadać. Właśnie dziś w sądzie rozmawiałem z moim kolegą o nim i kolega opowiedział mi o pewnej bardzo ciekawej sprawie związanej właśnie z Billą. Wyobraź sobie, że jakiś rok temu Billa kazał aresztować swego urzędnika, niejakiego Roberti, oskarżając go o kradzież. Wytoczono proces i Roberti, miesiąc temu, został skazany na więzienie. Kolega jednak zapewnia mnie, że jest przekonany, że cała ta sprawa została wdrożona przez Billę jedynie poto aby ukryć jakieś jego szachrajstwa i łajdactwa. Pomyśl, ten człowiek nie zawahał się może wpakować do więzienia niewinnego człowieka dzięki intrydze splecionej z iście szatańską złośliwością!

— Wiesz mój drogi, — odparł doktor — jedyne co mogę o nim po-



szał się na posłaniu i bredził pod działaniem chloroformu.

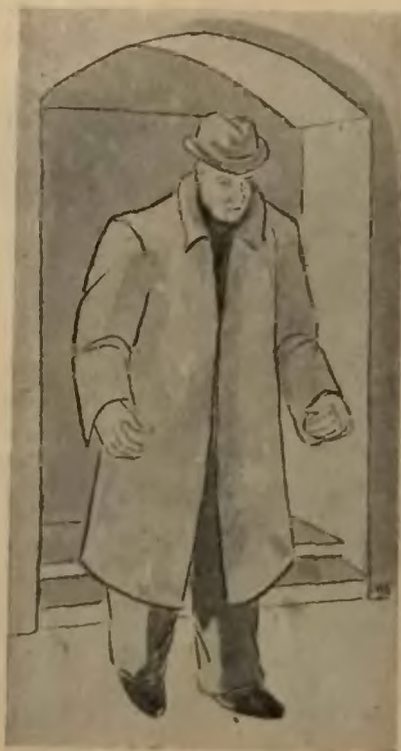
— Tak... jeżeli umrę... mam wszystko zapisane.. zobaczą... Roberti niewinny... Nikt się nie dowie, nikt... nikt... Chcę żyć... muszę żyć... Dziesięć lat... Co pan mówi? Niech siedzi... Gwiżdże na to... Wina sądziów, durnie... Idioci... Ale dobrze to ułożyłem... Słuchajcie...

I tak w delirium gromadził słowa na słowa, wyjawiał szczegóły, odkrywał cały wątek piekielnie zmontowanej intrygi. Oprócz doktora Chiarini, który stał się z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej właścicielem jego tajemnicy, nie było nikogo więcej w pokoju. Sytuacja stawała się trudna i właściwie miała tylko jedno rozwiązanie: zadenuncjować. Lecz wówczas zrujnuje zbawcę swego syna! Zamilcząć? Ależ Roberti cierpi niewinnie!

Wyszedł z pokoju chorego, chcąc

wiedzieć jest to, że dziś postąpił ze mną prawdziwie po dżentelmeńsku, za co też jestem mu ogromnie wdzięczny i zobowiązany.

Biały pokój w klinice. W powietrzu zapach lekarstw. Na łóżku grube ciało Vittorio Billi, jeszcze nieprzytomnego po operacji. Obok niego doktor Chiarini. Finansista zachorował nagle i choroba wymagała natychmiastowej operacji. Jak tylko Billa poznał charakter swej choroby, kazał aby go zawieziono do kliniki gdzie pracował doktor Chiarini, z prośbą aby słynny chirurg go zoperował. Z jakąż starannością, z jakim zapalem zabrał się stary chirurg do dzieła! Z jakąż radością oświadczył po operacji zebranym wokół asystentom: „Uratowany!”. Lecz teraz oto siedział przy łóżku pacjenta, błądzący ze zmienioną twarzą. Chory niespokojnie poru-



pójść do klinicznego ogrodu zaczerpnąć trochę powietrza, gdy spotkał w hollu matkę Gabrielli.

— Przyszłam dowiedzieć się właśnie o zdrowie Billi.

Na dźwięk jej głosu niepokój i męka doktora prysły. Wiedział, że może zaufać swej przyszłej krewnej. Przeszli więc do gabinetu, gdzie doktor opowiedział jej wszystko.

A wówczas stał się cud. Matka Gabrielli powiedziała:

— A więc dobrze, jeżeli rzeczy przyjęły taki obrót, nie powinnam dłużej tego ukrywać. Małżeństwo naszych dzieci jest już sprawą załatwioną, nie więc mu nie przeszkodzi. Niech się pan zatem dowie, doktorze, że nie, absolutnie nie nie jest pan winien Billi, żadnej wdzięczności! Widzi pan Gabriella kochała

i kocha bardzo pańskiego syna, należało go więc ratować za wszelką cenę, aby ich nie unieszczęśliwić. Chciałam to zrobić, lecz syn pana jest taki dumny... musiałam to zrobić sama, pocichu... Zanim pan poszedł do Billi, ja byłam u niego. Jestem dość zamożna, więc mogłam zapłacić... I zapłaciłam... Zapłaciłam sporo. On zaś skorzystał z okazji, aby powiększyć swe pretensje wobec pana... A potem udawał szlachetnego dobroczyńcę...

W kilka chwil potem doktor zatrzymał na placu taxi:

— Proszę jechać jaknajprędzej! Bardzo się śpieszę! — i podał adres swego przyjaciela adwokata.

FABRIZIO ALTANA

Thum. Helena Bychowska.

Rysunki M. Szcześniewskiej

Dzielnica wojskowa w Tripolisie





OJCIEC i SYN

W ogrodzie wykwintnego hotelu rozbrzmiewa cicho tęskna melodia tanga. Wieczór zapuścił już ciemne zasłony na świat, lecz lampiony rzucają żywe blaski na bujną, południową roślinność. — W jednym z rogów terasy, zacisznym kąciaku o-cienionym grupą bugenwilli, zgromadziło się małe kółko znajomych; zasiedli w wygodnych fotelach trzei-nowych, odcięci od reszty gości, zabawiających się jeszcze rozmową przy stole. Grono składa się z czterech osób, które niedawno przybyły do hotelu: dwie Włoszki, żony bogatych przemysłowców i Amerykanka, rozwódka, przybyła do Europy na rekonwalescencję po niedawno przebytej chorobie. Leczy się zapalczywie; pije i tańczy na przemian. Wszystkie trzy są zgrabne, rosłe i wytworne. Jedna blondynka ma w uszach cudne czarne perły, druga brunetka dwa jaskrawe korale, Amerykankę zdobi wspaniałe brylantowa kolia; klejnoty pań migocą tęczowym ogniem w półcieniu, a wszystkie trzy o pięknych umiejęt-

nie podmalowanych twarzach wyglądają jak bóstwa wielobarwne, stworzone przez artystę: ze złota, platyny, kości słoniowej i hebanu. Towarzyszący im piękny młodzian, z oczami jak aksamit przybył trzy dni temu i odrazu zajął gorąco swą osobą te panie. Jego wyniosła postawa, bardzo wytworny sposób bycia, przy swobodzie obejścia, wielka pewność siebie, wybredność w wyborze towarzystwa, znamionuje arystokratę. Służba tytułuje go hrabią.

W wonnej atmosferze wieczoru, młodzieniec opowiada zdarzenie, którego był świadkiem podczas swego pobytu w jednym z hoteli modnych miejscowości. Kobiety słuchają go pełne zaciekawienia: „Znałem człowieka, — zaczął opowiadać, jak by pod wpływem wewnętrznego przymusu — mniej więcej w moim wieku, którego słusznie można by zwać „urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą“. Posiadał duży majątek, dobrze brzmiące nazwisko,



był inteligentny. Parę lat małżeństwa z kobietą ukochaną nie zagaściło w nim miłości, lecz raczej podsycało ją jeszcze. Można by mu było zarzucić chyba za wielką gorliwość w pracy. Posiadał fabryki, rozsiane po kraju i wyjeżdżał często, zostawiając żonę samą w domu, lub dla rozrywki w jednym z wykwintnych hoteli, w górach lub nad morzem. Jego żona, tak piękna...

— Czy naprawdę była taka piękna? — zapytała platynowa blondynka. — Pan ją znał osobiście?

— Była naprawdę śliczna i znałem ją... niestety — powiedział z żalem młodzieniec. — Dobra, miła, kochała swego męża, lecz miała mózdzek ptasi. Zanudzała się sama. Miała skłonności do marzeń o niebieskich migdałach i choć mąż obsypał ją wszystkim czego mogła zapragnąć, nie była prawdziwie szczęśliwa. Uśmiechała się rzadko. Zapewne kochała na swój sposób mę-

żę i może była również jego winą, że się nie poznał na jej trosce, której przyczyną był przesyty. Tak, to była jego wina... takie rzeczy przychodzą na myśl zwykle już po nieszczęściu.

To on był tym mężem — pomyślały wszystkie trzy kobiety.

— Biedna Sylwia... nazwijmy ją tak, choć inaczej było jej na imię. — Nuda jest złym doradcą. Nie wiedziała co robić z czasem, przeglądała się w lustrach, przymierzała toalety, wymyślała co by mogło przerwać monotoność jej życia. Z tego wszystkiego mąż zdał sobie sprawę po fakcie.

To na pewno mąż Sylwii — pomyślały znowu trzy kobiety, przejęte spodziewanym nieszczęściem.

— Pewnego dnia, po wyjeździe męża z hotelu na Riwierze, gdzie bawili razem, Sylwia poznała młodego piękniś, biegłego w sztuce uwodzenia. W towarzystwie widział tylko Sylwię, lecz umiał zalecać się tak subtelnie, że nikt oprócz niej nie odgadł jego uczuć. Patrzył na nią tak czule i smętnie, że jej serce miękło. Znajdowała go wszędzie na swej drodze. W kilka dni po jego przybyciu zajechał do hotelu stary, dystyngowany jegomość z suchą, rasową, nieco zblazowaną twarzą. Miał zawsze w oku kwadratowy, ostry w złoto monokl na czarnej łasiemce. Patrzył przez niego bawczo na kobiety. Stary i młodzieniec zdradzali od razu gwałtowną antypatię do siebie. Ta antypatia rosła z każdym dniem, a stary pan, którego zajęła Sylwia, jakby zgadując tę gwałtowną miłość jaką o-

DOM FILATELISTYCZNO-WYDAWNICZY

ARKADIUSZ PACHOŃSKI
Warszawa. ul. Jasna 16, tel. 657-68

Polecamy znaczki całego świata w serlach i pojedyncze sztuki, różne odmiany znaczków Polski, katalogi do znaczków całego świata, przybory filatelistyczne.

Wydaje: albumy do znaczków Polski i całego świata. — Opuściły prasę drukarską następujące albumy do znaczków pocztowych, bogato ilustrowane. każdy kraj nabywać można osobno:
Norwegia zł. 1.25, Belgia zł. 3.—, Czechosłowacja zł. 2.—, Francja zł. 2.—, Finlandia zł. 1.20, Niemcy zł. 3.—, Rosja zł. 4.—, Włochy zł. 4.—. Album do znaczków całego świata Nr. 9 cena zł. 6.— i zł. 8.50 album Nr. 14 zł. 19.— i zł. 26 —, album Nr. 15 zł. 30.— i zł. 37.—, cennik bezpłatnie

budziła w młodzieńcu, stał się samorządnie jej aniołem stróżem.

— O... o... — zawolała Amerykanka. — A to stary lis! Oni wszyscy tacy. — Zapila wzruszenie sporym lykiem whisky.

— Skoro mąż Sylwii przybył na week-end do niej, starzec zapoznał się z nim bliżej i w ten sposób mógł potem być stale w towarzystwie młodej kobiety, bez wywołania zbyt licznych komentarzy.

Opowieść się przerwała, tylko ksylafon i flet ślały w ciepłą noc drżące, miękkie tony. W powietrzu unosił się jakby zapach grzechu.

— Sylwia czuła wstręt do starca — mówił w dalszym ciągu młodzieniec — i może to właśnie sprawiło, że tak łatwo przyjęła schadzke tamtego: pierwszy raz późnym wieczorem na plaży, następnie w ustroniu hotelowego ogrodu. Młody uwodziciel zwierzył jej się wówczas z boleści swego życia. Miał wszystko, majątek, nazwisko, lecz czuł się nieszczęśliwym. Tylko Sylwia mogła mu dać szczęście.

To zwierzenie tak wzruszyło Sylwię, że na pewno z litości padła w jego ramiona. I właśnie w chwili, gdy się złączyły ich usta, przysunął się obok nich starzec, udając, że używa spokojnej przechadzki.

— Uważaj najdroższa — przestrzegał ją uwodziciel, — lękam się tego człowieka nie dla mnie, lecz dla ciebie.

I zniknął. Tymczasem zbliżył się starzec do Sylwii: „Znam kogoś —



powiedział — co twierdzi, że jest bogaty i z wysokiego rodu, a jest prostym opryskiem. Oszukuje w karty i zrujnował już niejedną kobietę. Tych panów powinno się piętnować, gdyż przeciwnie, to oni zdobywają łatwowierne niewiasty.

Na firmamencie niebieskim załśniła spadająca gwiazda. Kobiety pomyślały: tak i to i w życiu szczęście szybko przemija.

Niestety, dokonała się zdrada Sylwii. Ach tak, mąż nie powinien był zostawiać bez opieki pięknej, słabej kobiety. Starszy pan przeczuł co się święci i gdy późną nocą uwodziciel wyszedł z pokoju swej ofiary, która zapewne żalowała już swego grzechu, zastukał w parę minut do niej. Sylwia mu otworzyła, nie wiedząc kto zastukał.

Panie stłumiły przerażony okrzyk.

— Widziałem jak wybrany pani wyszedł od niej w tej chwili, — ożwał się wytorny starzec — moim obowiązkiem byłoby zawiadomić męża pani, lecz nie uczynię tego. Potrzebuję pieniędzy, inaczej grozi mi ruina, a co więcej hańba. Przegrałem znaczną sumę w karty. Niechże więc pani ratuje mię z ko-



lei. Proszę tylko o weksel na pięćdziesiąt tys. franków. Prędko, prędko, niech pani podpisuje. Ten krok jest straszny i dla mnie... lecz trudno, nie mam wyboru.

— Niegodziwiec, podły, — zawołała histerycznie jedna z pań.

— O, nie wymyliłem owego przemówienia. Gdybyście panie odczytały list, który zostawiła Sylwia... Biedne, osaczone stworzenie... I cóż jej pozostało? Uczyniła to samo, co sto innych w podobnym wypadku. Znalaziono ją nazajutrz w łóżku martwą, po zażyciu za silnej dawki środka nasennego. Co zaś najokropniejsze — to wyobraźcie sobie panie, że obaj ci fałszywi wrogowie byli ojcem i synem.

— Nie... — zawołały wszystkie trzy bez tchu.

— Tak. Byli to dwaj oszuści, upadli arystokraci, pracujący razem. Stary znalazł słabe serca kobiece, a młody! Cóż to za geniusz! To on zarzucał sidła (gdy stary grał rolę mentora, by w stosownej chwili wyzyskać sytuację. Jakże ten młody świetnie odgrywał swą rolę. Był to w swoim rodzaju artysta, zasługiwał na podziw...

Nagle młodzieniec przerwał... Na tarasie ukazał się lokaj hotelowy, a za nim straszy, wytworny jego-ność. Miał wygląd arystokraty, twarz suchą, rasową, nieco zblazowaną, w oku kwadratowy, oprawny w złoto monokl na czarnej tasiemce.

— Ojciec pana hrabiego przyjechał — zapowiedział lokaj, podczas gdy starzec wyciągał ręce do syna.

Kobiety zerwały się z krzykiem trwogi.

— Przejeżdżałem tędy samochodem i chciałem cię odwiedzić... Lecz co to znaczy? — zapytał starzec pan, patrząc na bezładną ucieczkę trzech boginek.

— Głupcze — ozwał się po chwili. — Musiałeś opowiedzieć im swoją historyjkę? Nie wystarczy ci robienie kokosowych interesów? Ach ci młodzi, te błazny zawsze im trzeba oklasków! Czy wiesz, że ta najstarsza miała kość wartości stu tysięcy lirów? A teraz pakuj co żywo manatki. Tutaj grunt nam się pali pod stopami.

ANGELO GATTI

Wolny przekład Z. S.

Rysunek M. Ciąglińskiej





Sybilla Schmitz gra w filmie „Taniec na wulkanie” fot. Polski Tobiz



Dworzec kolejowy w Helsinkach

HELSINKI – BIAŁE MIASTO PÓŁNOCY

Przeciągłym ryksem (syreny zęgnął „Aegna”, poraż niewiadomo który w swym dwudziestoletnim życiu, spowity dymem port talliński.

Mały, 700-tonowy ten stateczek od lat utrzymuje stałą, codzienną komunikację w poprzek Fńńskiej Zatoki między Tallinem a stolicą Finlandii Helsinkami. I teraz właśnie, wlokąc za sobą ciężką wstęgę czarnego dymu, mija drewniane falochrony przedporcia, wypływając na sine wody zatoki. Nad rufą trzepocze na wietrze błękitno - czarno - biała flaga Estonii, jakby igrając ze statkiem towarzyszących nam białych mew. Pasażerowie, chroniąc się przed chłodem chmurnego dnia

lipcowego poznikali pod pokładem, a tylko nieliczni, otuleni w grube paltta i pledy zajmują pokładowe krzesła, obserwując przesuające się w mglistej dali sylwety statków i białe żagle jachtów. Dawno już znikł w mgle Tallin, daleko za rufą pozostały przybrzeżne, skaliste wysepki i teraz wokół, jak okiem spojrzeć, rozłacza się sino-szara powierzchnia morza, lekko zmarszczona małą falą.

Dopiero po trzech przeszło godzinach monotonnej podróży, urozmaiconej jedynie obserwowaniem mijanych statków lub krążących za rufą mew, zaczęły ukazywać się na horyzoncie ciemne zarysy lądu. W chwile później statek wjechał w la-



Omach parlamentu w Helsinkach

birynt mniejszych i większych skalistych wysepek, ledwo czasem sterczących nad fale swymi ciemnymi, błyszczącymi od wilgoci skalnymi ciałami. Większe z nich są ufortyfikowane. Na jednych widać otaczający je niski, kamienny mur z za niego swe paszcze. Wewnątrz muru apnę budynków mieszkalnych i mała morska latarnia służą za pomieszczenie załogi. Większe i bliżej stałego lądu leżące wyspy dźwigają na swym grzbiecie potężne, szare urządzenia forteczne, najeżone ciemnymi otworami strzelnic. Dziwnymi wydają się te bezludne napozór, rozsiane na wysepkach u wjazdu do stolicy Finlandii fortyfikacje. Trzeba jednak pamiętać, że martwota ta jest tylko pozorną, a te ufortyfikowane szkiery¹⁾ to fińska linia „Meginota”, broniąca wybrzeża Zatoki Fińskiej, a ku zachodo-

wi przechodząca w ufortyfikowany węzeł wysp Alandzkich, stanowiących fińsko-szwedzki bastion, odcinający w razie potrzeby od reszty Bałtyku całą Zatokę Botnicką.

Za pasem wysp widać już jak na dłoni stolicę Finlandii, jej największe, 300.000 mieszkańców liczące miasto Helsinki. Nad morzem domów sterczą ku niebu wysokie iglice gotyckich wieżyc, to znów cebulaste kopuły bizantyjskich soborów i cerkwi. Powoli statek wjeżdża do portowego basenu wdzierającego się aż do centrum miasta. Przesuwają się przed oczyma olbrzymie nowoczesne magazyny, widać dziesiątki dźwigów, pracujących nad wyładowywaniem i ładowaniem statków. Kończącą część basenu przyjmuje już charakter wyłącznie pasażerskiej przystani, od której zielony pas plant prowadzi do głównej arterii miasta — alei Henriksgatan, przechodzącej

¹⁾ Szkiery — skaliste wysepki przybrzeżne, wygładzone przez lądolód.



Gmach żenatu — z lewej strony pomnik cara Mikołaja, W. Ks. Fińskiego

w reprezentacyjną, szeroką Abovågen. Po opuszczeniu statku przylbyz przekroczywszy komorę celną dostaje się wprost w wir targu na placu Kauppatori, gdzie na nadbrzeżu basenu portowego skoncentrował się handel owocami wszystkich stref. Można tu na straganach dostać wszelkie owoce od jabłek do ananasów i granatów, a ceny są niesłychanie jak na polskie stosunki niskie. Ale miasto leży poza portowym nadbrzeżem. Wiedzie do niego zielone Esplanaadinkatu ozdobiona od strony portu wspartą fontanną z posągami syreny, obryzgiwaną wodą przez cztery lwy morskie.

Jeżeli zboczymy stąd w pierwszą przecznicę w prawo, doprowadzi nas ona na obszerny plac, przy którym z jednej strony wznosi się monumentalny neobizantyjski zbór, błyszczący niepokalaną bielą swych ścian, naprzeciw zaś, po drugiej stronie placu, stoi wielki szary pa-

łac rządowy. Trzeci wreszcie bok placu zajmuje długi, trzypiętrowy budynek uniwersytetu. Na środku zaś placu stoi wielki marmurowy pomnik cara Mikołaja. Postać imperatora Wszechrosji stoi na wyniosłym cokole, otoczonym alegorycznymi postaciami, zwrócona twarzą w stronę rządowego pałacu. Dziwić może to pobłażanie, czy obojętność Finów na pomniki bądź co bądź niedawnej jeszcze niewoli i nasuwa się przypuszczenie, że kraj ten widocznie nie odczuł rosyjskiego jarzma jak nasz. I rzeczywiście, Finom pod rządami Rosji działało się nienajgorzej, stanowili odrębną gubernię, a z chwilą wybuchu wielkiej wojny wolność po prostu spadła im z nieba, nie leżało bowiem w strategicznych planach Rosji utrzymywanie na wypadek wojny frontu w Finlandii i wojska rosyjskie nawet bez walki opuściły „kraj tysiąca jezior”. Finlandia ujrzała się nagle wolną. Zagro-



Wnętrze sali obrad parlamentu fińskiego

zily dopiero wolności tej zaborec
dążenia Sowieców, ale z tej opres-
sji wyszli Finowie obronną ręką.

Reprezentacyjną arterią stolicy
Finlandii jest wspomniana Abovå-
gen, szeroka, na wskroś nowoczesna
aleja, którą łączą się wszystkie
większe ulice miasta. Przy tej alei
zgrupowały się w otoczeniu zieleń-
ców najważniejsze, monumentalne
budynki miejskie i państwowe.

Pierwszy z brzegu olbrzymi kole-
jowy dworzec, wzniesiony z szare-
go fińskiego granitu, wprawia w
zdumienie swą monumentalnością
i na wskroś nowoczesnym rozwiąza-
niem. Olbrzymi budynek, z wysoką
niesymetrycznie umieszczoną ze-
garową wieżą, może być śmiało sta-
wiany za wzór nowoczesności.
Twórcą jego największy architekt
fiński bieżącej doby, Eliel Saarinen
uczynił zeń po prostu pałac światła,
gdyż większą część powierzchni
ścian stanowią oprawy w stalowe
kratki olbrzymie talle lustrzanych

szkl. To też wnętrze, olbrzymie hale,
po prostu toną w powodzi światła,
wyróżniając ten cud nowoczesnej
architektury od mrocznych zazwy-
jaj wnętrz dworcowych na Za-
chodzie. Obok dworca wznosi się
gigantyczny 8-piętrowy blok poczty
i telegrafu, wzniesiony z różowego
granitu.

Kilkaset metrów dalej zwraca u-
wagę budynek fińskiego parlamen-
tu. Sześciopiętrowy, granitowy blok
o idealnych liniach graniastosłupa,
o froncie ozdobionym rzędem ol-
brzymich kolumn, wobec których
człowiek wydaje się samemu sobie
maleńka mrówką, stoi na piedesta-
le z kilkudziesięciu szerokich, gra-
nitowych stopni. Twórcą parlamen-
tu jest ten sam artysta, który pro-
jektował dworzec.

Ale wejdzmy po tych szerokich
granitowych stopniach do wnętrza
gnachu. Wnętrze wypełnione całym
labiryntem sal, poczekalni, gabinet-
tów i kancelarii ministrów. Zwrą-



Fortyfikacje na wysepkach przed wejściem do Helsinek

cają uwagę swym przepychem sala rautowa i jadalnia o ścianach wykładanych najszlachetniejszymi gatunkami krajowych granitów, a posadzkach pokrytych zielonkawą elastyczną masą, po której idzie się jak po gumie. Nade wszystko jednak zaciekawia sala posiedzeń parlamentu, który jest w Finlandii, tym na wskroś demokratycznym kraju, jednoizbowy. System głosowania jest tu najzupełniej zmechanizowany. Przy każdym fotelu delegata umieszczone są na tabliczce rozdzielczej guziczki elektryczne z napisami „tak” i „nie”. Wystarczy w czasie głosowania nacisnąć dany guziczek, a równocześnie na głównej tablicy mechanizm oblicza głosy i wynik sygnalizuje świetlnym napisem. Ta frontowa ścianie w półkolistych wnękach twórcą umieścił granitowe olbrzymie postacie alegoryczne, a dużo do myślenia i do improwizowania na ten temat humorystycznych dykteryjek daje

fakt umieszczenia kobiecej postaci symbolizującej „przyszłość” tyłem do poselskiego audytorium.

Znów o kilkaset metrów dalej wznosi się również granitowy budynek Muzeum Narodowego, wzniesiony w stylu romańskich średnio-wiecznych kościołów i nawet dzięki wysokiej wieży, przypominający w zupełności świątynię. Olbrzymi hall muzeum ozdobiony jest ściennymi obrazami i freskami, obrazującymi mityczne dzieje Finlandii. Sale zaś muzealne są idealnym przykładem sposobu ułożenia eksponatów w każdym narodowym muzeum, mającym obrazować rozwój kultury i historii danego kraju. Sala za salą przesuwają się tu przed zwiędzającym dzieje kultury tego kraju, począwszy od epoki kamiennej, od chwili ustąpienia lodów ostatniego zlodowacenia dyluwialnego, aż do chwili dzisiejszej, dając doskonały przegląd tysiącleci wędrówki rodzaj: ludzkiego na



Stadion olimpijski w Helsinkach

wyżyny kultury. Piętra muzeum zajmują działy etnograficzne. Można tu oglądać wszystkie typy wnętrz ludowych chat z całego kraju, wszystkie typy sroarów ludowych, noszonych kiedyś w Finlandii, prezentując przed zwiedzającym doskonałe, naturalnej wielkości, manekiny, wykonane wprost artystycznie, a ułożone w malownicze, pełne życia grupy. Można tu obejrzeć najrozmaitsze sprzęty ludowego przemysłu, a wszystko ułożone celowo, obrazuje równocześnie ewolucję rozwojową danej rzeczy. Może najciekawszym jest dział ludów ugrofińskich, szczególnie dokładnie obrazujący na artystycznych manekinach kulturę i stroje północnego odłamu tych ludów, a więc Lapończyków, Karelów, Czudów, Mordwinów, Czeremistów, Permiaków, Ostiaków i in.

Przed oczyma przewijają się tu postacie jakby żywcem ściągnięte z mroźnej Północy, odziane w nie-

dzwiedzie, sobole i reniferowe futra bogato zdobione, o twarzach ciemnych, spalonych mrozem, a już największe zainteresowanie budzi grupa złożona z odzianego w futra Lapończyka, siedzącego w małych podobnych do łódki saneczkach ciągniętych przez rena.

Prócz działu etnograficznego w Narodowym Muzeum posiadają jeszcze Helsinki drugie etnograficzne muzeum, tym razem już pod gołym niebem. Mieści się ono na połączony z lądem długim pomostem wyspie Seurasaari. Tutaj wśród lasu mieszczą się rozrzucone całe zagrody wraz z kompletnymi urządzeniami wewnątrz, przeniesione ze wszystkich stron kraju jak i nad wybrzeżami Arktyku. Zgrupowano tu wszystko co było dla budownictwa wiejskiego charakterystyczne, od małych domków lapońskich, aż po drewniany wiejski kościół pełen prymitywu prostej a tak zasobnej w treść sztuki ludowej. Napra-



Sobór prawosławny w Helsinkach

wdę że to „Ulkomuseo” założone na wysepce Seurasaari przez prof. Aksela Heikla, wielkiego miłośnika ludowej kultury fińskiej godne pozazdroszczenia i mimowoli w duszy rodzi się pytanie, kiedyż my na coś podobnego się zdobdziemy i ginące z dnia na dzień okazy polskiego ludowego budownictwa i kultury ludowej zostaną przed zębem czasu dla przyszłych pokoleń zachowane.

Ale Helsinki to przede wszystkim miasto nowoczesne, żyjące całym rozmachem młodego, zbudzonego do niepodległego bytu państw. Rozmach i twórcze tempo znać wszędzie. Jak nas objaśnia nasz towarzysz, rodowity Fin i przyjaciel Polski P. Sulo Haltsonen, w okresie lata, kiedy dzień trwa 24 godzin powstają na peryferiach całe dzielnice nowych, okazałych gmachów. Buduje się gorączkowo, oddając już po kilku miesiącach bezustannej pracy do mieszkalnego użytku

nie pojedyncze bloki ale całe nowoczesne dzielnice, nie też dziwne, że Helsinki rosną jak na drożdżach i dawno już przewyższyły pierwotną stolicę kraju 65.000-letnie Abo. Na ulicach szczególnie w godzinach południowych i wieczorowych panuje duży ruch. Komunikację w obrębie miasta utrzymuje gęsta sieć tramwajowa i autobusowa, a ciekawym może się wydać, że konduktorami w autobusach i tramwajach jak i kelnerkami i subiektami w restauracjach i magazynach handlowych są wyłącznie kobiety, tworzą one nawet ochotniczy korpus orchońny o organizacji wojskowej, z wojskową, skoordynowaną służbą. Zapytywani o przyczynę tego ciekawego faktu Finowie odpowiadali, że Finlandia jest krajem pracy, a mężczyzna wstydzi się podejmowania lekkich prac, gdyż przynosiłoby mu to ujmę, pozostawia je więc kobietom. Ciekawy i naprawdę pouczający



Zagroda w środkowej Finlandii (Muzeum etnograficzne)

jest to punkt zapatrywania, a rezultatem jego jest, że Finlandia nie posiada bezrobotnych. Prawda, że odgrywa w tym rolę i mała gęstość zaludnienia, wynosząca na północy zaledwie kilku ludzi na 1 km², ale zawsze to podejście do problemu pracy godne jest naśladowania.

Z fali przechodniów ulicznych rzucają się w oczy wyniosłe postacie Finek, z których wiele to klasyczne reprezentantki nordycznego typu. Także i wśród mężczyzn widzi się wielu wysokich, krótkogłowych blondynków, ale i obok nich częste są typy laponiodalnych, skośnokich o wdatnych policzkowych kościach szatynów.

Uderza i zastanawia kontrastujący z rozmachem pracy zupełnie nie gorączkowy ruch pieszych przechodniów. Nikomu się tu nie spieszy, w prywatnym życiu zdaje cechować Fina iście angielska flegma. Sklepy otwiera się o dziewiątej rano,

a o 18-tej są już wszystkie zamknięte.

Helsinki posiadają uniwersytet fiński, ale życia akademickiego, pojmowanego w naszym sensie zupełnie tu nie ma. Owszem, akademik czy akademiczka noszą latem twarzowe białe, podobne do używanych przez wioślarskie kluby czapki, ale poza tym są w życiu zwykłymi młodymi obywatelami, żyjąc każdy swym prywatnym życiem. Związków samopomocowych i podobnych organizacji nie zna się tu zupełnie: istnieją akademickie kluby polityczne, ale i one nie koncentrują akademickiego życia. Każdy młody, studiujący na uniwersytecie Fin żyje na własną rękę, płacąc za kawalerskie mieszkanie przeciętnie 260 zł, ubożsi korzystają łatwo z długoterminowych pożyczek fińskiego banku, a jedynym warunkiem otrzymania umożliwiającej studia i życie podczas nich pożyczki jest ubezpieczenie się na życie.



Mysliwskie domki lapońskie (Muzeum etnograficzne)

Jest tu zupełnie pewnym, że po studiach (trwających do lat 10-ciu) każdy z tych młodych ludzi otrzyma odpowiednie stanowisko i pożyczkę w zupełności spłaci.

Ulice Helsinek mają typowy wygląd ulic miast nowoczesnych, rozbudowanych szybko i według wymogów nowoczesnej urbanistyki. Są szerokie, przecinają się pod prostymi kątami, a co jest godnym podkreślenia, ożywione są zielonymi plamami licznych skwerów, plant i parków. Całą zachodnią stronę miasta zajmuje olbrzymi, nadmorski park, a nad zatoczką Lapinlahti przytyka do niego również zielona, wyglądająca jak wielki park dzielnica cementarna. Centrum zaś miasta również zajmuje zielone plamy parków nad jeziorkiem Töölönlahti z wielkim nowym stadionem olimpijskim w północnej części. W fizjognomii miasta przeważają wielkie nowoczesne blo-

ki o prostych liniach i płaskich dachach. Przy ruchliwszych ulicach olbrzymie kilkupiętrowe magazyny pyszną się dniem lśniąco powierzchnią swych olbrzymich wystawowych szyb, a o zmierzchu, zakwita orgia kolorów świetlnych reklam.

Charakterystycznego piętna nadają miastu wychodnie skał granitowych podłoża. Widzi się często przy ulicach, na wolnych niezabudowanych placach lub w parkach, czy na wybrzeżu potężne szare lub różowawe kopulaste granitowe bryły, w które czasem weina się ulica, dźwigająca na barkach bloki domów, czy monumentalne budynki, jak muzea i galerie. Powierzchnia tych skał nosi wyraźne ślady ogładzenia przez lodowce dyluwium i jest jedynym w swoim rodzaju miastem, nadając mu nigdzie niespotykany wygląd.

WOJCIECH WALCZAK



ROZBITE LUSTRO

Tego dnia, jak zwykle, o siódmej z rana w domu był rejwach. Posługaczka poszła po bułki i gdzieś zginęła, pani Idalia pilnowała w kuchni mleka gderząc, że nie ma bułek i nie może szykować śniadania. Od czasu do czasu wybiegała z kuchni i stukala do drzwi łazienki wołając:

— Ryšku, co ty tam robisz?! Prędkiej! Na pewno znowu się spóźnisz do szkoły! Jeszcze nie jadłeś śniadania! Ach, Boże! co ja się z wami namęczę!

Z łazienki dolatywała niecierpliwa odpowiedź:

— Zaraz, no zaraz! Przecież muszę się umyć.

Jadzia, przystojna brunetka o figlarniej twarzy pośpiesznie układała włosy i pudrowała nos w swoim pokoju, pytając przez drzwi:

— No są już te bułki? Znowu będę musiała na gwałt polykać śniadanie!

Nagle pani Idalia usłyszała trzask tłukącego się szkła. Wpadła do pokoju córki i załamała ręce.

— Jadziu, bój się Boga! Coś ty narobiła?! Takie nieszczęście!

Jadzia klęcząc zbierała z podłogi kawałki stłuczonego lustra.

Gdy matka weszła podniosła się z klęczek.

— Nie strasznego się nie stało. Pewnie, że to nie jest przyjemne, trzeba będzie znowu parę złotych wydać. Ale nie ma czego rozpaczać.

Matka jednak biadała w dalszym ciągu:

— Parę złotych — to parę złotych, nie o to chodzi. Przecież złote lustro to siedem lat niepowodzeń, choroba, lub śmierć. Boże, Boże!

No naturalnie, przecież dziś piątek, nie dziwnego, że się wszystko nie składa.

Jakby na potwierdzenie jej słów z kuchni doleciał wstrętny odór przypalonego mleka.

— Mleko wykipiało! — krzyknęła pani Idalia i wybiegła z pokoju.

Jadzia skończyła toaletę przed dużym wiszącym lustrem. Nie była zbyt przesadna, ale poglądy matki oddziaływały i na nią. A pani Idalia była istną skarbnicą przesądów. Staczała walki z nieporządnym Ryśkiem, który potrafił postawić swe kamasze na stole — nie dlatego jednak, że były zabłocone i nie stanowiły zbyt pięknej ozdoby — lecz, że przynosi to jak wiadomo nieszczęście. Panicznie bała się piątku i trzynastki, nie przeszła za nic pod drabiną, sprzedawała za byle co piękny pierścionek z opalem, otrzymany w spadku po ciotce, byle go się pozbyć z domu i t. d. A zbite lustro... to katastrofa!

Przy śniadaniu, które podano ze znacznym opóźnieniem, pani Idalia powróciła do tego tematu:

— Jedyna rada, by uchylić nieszczęście, to wrzucić kawałki lustra do bieżącej wody. Będiesz musiała jechać nad Wisłę — zawyrokowała.

Jadzia zachnęła się niecierpliwie.

— Ależ mam, niech mama da spokój! Wisła zamarzła, gdzież będę szukała przerębli? Nie mam na to czasu.

— No to zobaczysz, że we wszystkim będziesz miała pecha — wygłosiła pani Idalia złowieszczo.

Jadzia w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

A jednak dzień ten okazał się naprawdę pechowy. Wysiadając z tramwaju upadła, o mało nie trafiła pod nadjeżdżającą taksówkę i rozdarła nową pończochę.

Zdenerwowana przyszła do biura ekspedycyjnego, w którym pracowała. Piszząc na maszynie myliła się

raz po raz zajęta rozmyślaniami czy lustro sprowadzi dalsze nieszczęścia.

Pan Stanisław X, sekretarz szefa był nieobecny, Jadzia go zastępowała. Szef nie cierpiał kobiet i odnosił się do nich sarkastycznie. Toteż z drżeniem serca koło godziny trzeciej, zaniósł Jadzia listy do podpisu. I oczywiście... szef czytając jeden z nich zrobił się purpurowy, już miał wybuchnąć, powstrzymał się jednak i oddając jej list wycedził tylko ironicznie:

— Wiem, że kobiety myślą jedynie o lustrach i o swym wyglądzie, lecz gdyby pani pisząc listy *handlowe* zechciała przez jakiś czas o tym zapomnieć, byłbym wdzięczny. Jeżeli jednak jest to niemożliwe, to lepiej byłoby, gdyby pani cały swój czas poświęciła przeglądaniu się, a sprawy biurowe pozostawiła komu innemu, mniej skłonnemu do rozmyślań o lustrach.

Drżącą ręką odebrała Jadzia list, rzuciła nań okiem i zaczerwieniła się. Zamiast zawiadomienia o wysłaniu partii maszyn rolniczych dla spółdzielni w Poznańskim, napisała „partii luster“. Milcząc zabrała nieszczęsny list, przepisała go i odesłała szefowi przez woźnego.

Nachmurzona wracała do domu. Tego dnia jednak, broniła się jeszcze przeciw naleganiom matki by iść nad Wisłę. Miał dzwonić Jaś, by się umówić z nią do kina, nie miała więc czasu na topienie lustra. Czekala do godziny 8-ej, coraz bardziej zdenerwowana. Jaś nie dzwonił. Że zaś nie była dziś w nastroju do cierpliwego czekania i znoszenia nagabywań matki, po ósmej z pasją wcisnęła kapelusz na głowę i poszła do kina sama. Nie zwracała prawie uwagi na film, cała pochłonięta myślami o zawodzie jaki sprawił jej Jaś. Łzy napłynęły jej do oczu, czuła, że nos jej się zaczerwienił, gdy zapłonęły światła wyjęła więc puderniczkę spojrzała



w lusterko... i zdrętwiała. W lusterku odbiły się twarze siedzącej za nią pary zatopionej w czulej rozmowie. Jaś... z jakąś przystojną młodą niewiastą. To rzeczywiście odpowiednie zakończenie tego przyjemnego dnia! Upudrowała nos, wyprostowała się dumnie i przechodząc koło zdrajcy obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Zauważył ją, zarumienił się i wstał chcąc się przywitać, Jadzia jednak udala, że tego nie widzi i pośpiesznie wymaszerowała z kina.

Przez pół nocy nie mogła zasnąć. Nazajutrz była jeszcze bardziej roztrzęsiona i może wskutek tego doszło do sprzeczki z przyjaciółką.

Wychodząc z biura obie spieszyły się bardzo i wkładając przed lustrem kapelusze przeszkadzały sobie nawzajem. Od słowa do słowa doszło do kłótni. Jadzia wybiegła omal nie płacząc. Była to ostatnia kropla przepełniająca kielich goryczy. Feralne lustra! Wszędzie jej wchodzi w drogę. To wskazówka losu, matka miała rację, jeżeli nie pozbędzie się rozbitego lustra, kto wie jakie nieszczęścia jeszcze na nią spadną. Ani godziny dłużej nie będzie trzymała w domu tych pechowych kawałków! Wpadła do mieszkania jak bomba, zapakowała je w papier, wybiegła i wsiadła do tramwaju by jechać nad Wisłę.

Sadowiąc się w wozie skonstruowała, że naprzeciwko niej siedzi młody przystojny blondyn, którego знаła już z widzenia, jako że niemal codziennie spotykali się w tramwaju. Zdawał się nią mocno interesować, czasem nieśmiało się uśmiechnął, a nawet kiedyś uklonił, ale Jadzia na ukłon nie odpowiedziała, chociaż jej się młodzieniec podobał — nie wypada przecież zawierać znajomości w tramwaju.

Dziś przynębiona, zmęczona i głodna siedziała z ponurą miną, trzymając pod pachą paczkę z kawałkami lustra i nie zwracając uwagi na swe vis — à — vis.

Blondyn kilka razy spojrzął na zachmurzoną, zwykle tak wesołą i filuterną twarz — i westchnął. Taką miał ochotę się z nią zapoznać, ale jej oziębła mina onieśmielała go, a dziś wyglądała wręcz tragicznie. Co też mogło jej się przytrafić? Dużo by dał aby móc ją pocieszyć! Gdy wysiadła na przystanku przy moście Kierbedzia, nie nienamysławiając się podążył za nią.

Jadzia szła wzdłuż Wisły wyglądając przerebli. Pogoda była mglista, rzadko rozstawione latarnie niejako oświećlały wybrzeże, przechodni było niewiele. Podeszła do schodków prowadzących w dół i zawahała się — zejście wydało jej się czymś wymagającym nie byle jakiej odwagi. Ale trzeba było raz z tym skończyć. Zeszła więc. Przerebła czerniała o kilka kroków od brzegu, pochyliła się z paczką w rękę by dobrze wymierzyć i utopić niefortunne kawałki, gdy w tem... objęły ją czyjeś ramiona. Zdumiona chciała się wyrwać lecz ramiona trzymały mocno. Serce w niej zamrło ze strachu, błysnęła myśl: Jakiś łobuz chce skorzystać w ciemności z okazji! I po co tu przyszła? Przeklęte lustro!...

Zesztywniała z przerażenia z trudem zdołała odwrócić głowę — i spojrzała w twarz blondyna z tram-

waju. Nie wyglądał wcale groźnie, minę miał błagalną i zakłopotaną. Wykrztusił gorączkowo:

— Ależ, proszę pani! Jak można! Pani taka młoda i ładna i tak nie ceni życia! Przecież nie ma takiej sytuacji, z której nie można by wybrnąć. Ja... pamięć... ja... (umilkł zmieszany).

Przez chwilę patrzyła na niego ze wzrastającym zdumieniem wreszcie zrozumiałwszy co miał na myśli wybuchnęła śmiechem. Z ulgi po wielkim strachu śmiała się niemal histerycznie, śmiała się tak, że musiała oprzeć głowę o jego ramię.

Stał trzymając ją ciągle w uścisku i patrzył na nią nie rozumiejąc powodu tej naglej wesołości.

Zwolna uspokajała się i wykrztusiła chichocząc:

— Więc pan myślał, że chcę popełnić samobójstwo? Że chcę się utopić? Ha! Ha! Ha! Ja tylko chciałam utopić pecha!

A widząc, że blondyn zdetonowany nie wie co dalej robić wzięła go pod rękę i idąc ku schodkom szczebiotała już wesoło:

— Chodźmy. Po drodze opowiem panu o co chodzi. Muszę też podziękować, że widząc ją pochyłoną kochać za chęć uratowania mi życia.

Idąc młodzieniec wyznał niew ciemności nad wodą i przypomniawszy sobie jej tragiczną minę w tramwaju pewny był, że zamierzała popełnić samobójstwo, że od dawna miał ochotę się z nią zapoznać lecz onieśmielała go swym chłodnym zachowaniem się.

— No pewnie, nie mogę przecież zawierać znajomości na ulicy — wygłosiła. — Ale teraz znajomość została zawarta. Trudno. Ostatecznie spoczywałam już przecież w pana ramionach! — spojrzała na niego z ukosa.

W świetle latarni zauważyła, że się zaczętwienił.

— Może wejdziemy do cukierni, żeby się rozgrzać? — proponował.



— I owszem — odrzekła — umieram z głodu, nie jadłam dziś jeszcze obiadu.

Weszli do pobliskiej restauracji. Młodzieniec był przejęty. Pieczolowicie usadowił ją przy stoliku, poprosił o jadłospis i gdyby mu na to pozwoliła byłby obstałował wszystko co w restauracji mieli najlepszego. Z trudem powstrzymała go

od zamówienia tylu dań, że starczyłoby na nakarmienie kilku zgłodniałych mężczyzn.

Przy obiedzie opowiadała o feralnym lustrze i o nieszczęściach jakie spowodowało, lecz teraz wydawało jej się to wszystko ogromnie zabawne. Opowiadała z humorem i śmiali się wesoło. Nagle młodzie-

niec spojrzal na paczkę leżącą na krześle przy stoliku i zapytał:

— Czy to są właśnie te feralne kawałki?

Spojrzała także i przeraziła się.

— Tak — wykrzyknęła — ale skąd się tu wzięły przecież je zostawiłam na brzegu.

— Paczka wypadła pani z rąk, więc ją podniosłem i przydźwigałem aż tutaj.

— Trudno! Nie mogę się ich pozbyć to schowam na pamiętkę. Wypowiadam wojnę przesądom — i oboje wybuchnęli śmiechem.

Przy kawie wiedzieli już o sobie wszystko. Pan Olgierd był dobrze sytuowanym urzędnikiem prywatnym, nie miał rodziców ani bliskich krewnych. Mieszkał na tej samej co ona ulicy. Odprowadził ją do domu i pożegnali się jako dobrzy przyjaciele. W międzyle, odrzucający propozycję skruszonego Ja-

sia, Jadzia udala się z panem Olgierem. Potem widywali się coraz częściej, podobali się sobie coraz bardziej. Po dwóch miesiącach oświadczył się i został przyjęty. W karnawale odbył się ich ślub. Przy śniadaniu weselnym — ku rozpaczy matki — zasiadło trzynaście osób.

— Muszę — tłumaczyła Jadzia — przeciwstawić się przesądom. Ostatecznie, skojarzyło nas rozbite lustro, gdybym się przesądom poddała musiałoby to małżeństwo wypaść pechowo. A ja chcę żyć z nim długo i szczęśliwie.

Matka z niedowierzaniem trzęsła głową, ale po paru latach nawet ona musiała przyznać, że stanowią jedno z najszczęśliwszych małżeństw.

L. B.

Ilustracje M. Szczesniewskiej





Krystyna Soederbaum, bohaterka filmu „Nieśmiertelne serce” fot. Polski Tobia

CZYTAJCIE NAJSTARSZE CZASOPISMO
LITERACKO - SPOŁECZNE

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

ZAŁOŻONY W ROKU 1859

TYGODNIK ILLUSTRROWANY

jest nadal ulubionym czasopismem
Rodziny Polskiej i przynosi prace
najlepszych piór
publicystycznych i literackich

TYGODNIK ILLUSTRROWANY

wraz z dodatkami magazynu
„NAOKOŁO ŚWIATA” i „BIBLIOTEKĄ
POWIEŚCIOWĄ”, ma obecnie naj-
tańszą prenumeratę zbiorową —
zł. 650 miesięcznie z dostarcze-
niem do domu.

Żądać szczegółowych prospektów —
i numerów okazowych

WARSZAWA, UL. ZGODA 12

ZŁOTA NOGA



Gdy przybyli do tego dziwnego miasteczka, które obrali sobie jako punkt wyjściowy dla swych pieszych wędrówek, poczuli się mimo woli trochę nieswojo.

Radość, przepelniająca ich w chwili wyjazdu z Paryża, wyczerpała się. Strach tak wyraźnie malował się w ciemnych oczach Dorothy, że Piotr bał się w nie spojrzeć z obawy, by ślad podobnego lęku nie zjawił się i w jego źrenicach.

Wszystko było świetnie, póki znajdowali się w expresie, wiozącym ich z warkotem ku hiszpańskiej granicy; krew grała w ich żyłach w rytm kół. Lecz w Moreux musieli wsiąść do nędznego pociągu, złożonego z przestarzałych wagonów, który dowiózł ich jakoś w nieznane i ciekawe okolice... okolicie cieniów i melancholii.

Godzinami, przez całe bezsłoneczne popołudnie, trzęsąca się kolej przedzierała się krętą linią po przez miliony sosen, tych udręczonej sosen z land, po przez dziwną okolicę, ciągnącą się setkami kilometrów wzdłuż Atlantyku, między starymi portami — Bayonną i Bordeaux.

Drzewa cisnęły się tłum-

nie aż do samego toru kolejowego, jak gdyby pragnęły pokazać wszystkim swe biedne storturowane pnie. Stały one tam, gęstymi zastępami, każde z głębokim nacięciem ukazującym białawą miazgę; u dołu widać było gliniane naczynie, zbierające cenną żywicę, która ściekała kropla po kropli z ran tych pożałowania godnych, umęczonych istot.

Przerywając długotrwałą ciszę, Dorothy szepnęła cichutko:

— Chwilami mam wrażenie, że słyszę, jak kapie krew!

Gdy zmierzeh zapadał w atmosferze, przesyconej natrętnym zapachem żywicy, dotarli do nędznej oberży, gdzie zostali przyjęci jakby z niechęcią. Gdy zażądali dwóch pokoi, gospodyni spojrzała na nich złym okiem, wyszczerzając w drwiącym uśmiechu długie, żółte zęby.

— Dlaczego dwa? — pytała. Mam jeden. Czyż to nie wystarczy?

— Nie — odparł sucho Piotr.

Bardzo zdziwiona, powiedziała to-nem zrędlwym, że zabierze z jednej z izb dziecko, ułożone tam do snu. Jej sposób zachowania się świadczył o żywym niezadowoleniu.

Para młodych ludzi, poprosiwszy o posiłek i oczekując nań, zasiadła przy stole, którego powierzchnia pocięta była licznymi napisami przez pokolenia klientów. To przypominało im biedne, udręczone drzewa. Zbieracze żywicy, być może, nie mogą oprzeć się pokusie nacinania drzewa nawet wówczas, gdy jest pozbawione soków.

Na dworze panowała noc, głęboka noc, otulająca jakby całunem wszystkim storturowane drzewa, cisnące się wokół domów, niby jakaś oblegająca armia.

— Teraz, gdy już jesteśmy tutaj — rzekła Dorothy, pytam sama siebie, czemu wybrałam ten kraj, jako teren naszych wędrówek. Pociąg przybył tutaj, gdy istnieje tyle in-

nych miejscowości bardziej pociągających!

— Twój wybór, istotnie, nie wydaje mi się w tej chwili najszcześniejszy — odrzekł Piotr. To prawda, że gdy porzuca się Paryż i miliony jego światła dla okolicy, gdzie nie spotyka się ani jednej lampy na przestrzeni dziesięciu km kwadratowych, to nie można ustrzec się przykrego wrażenia. Ale to przecież właśnie ty chciałaś koniecznie, byśmy tutaj przyjechali i teraz jesteś niezadowolona!

— Dlatego, że lęk mnie ogarnia! Chciałabym wracać!

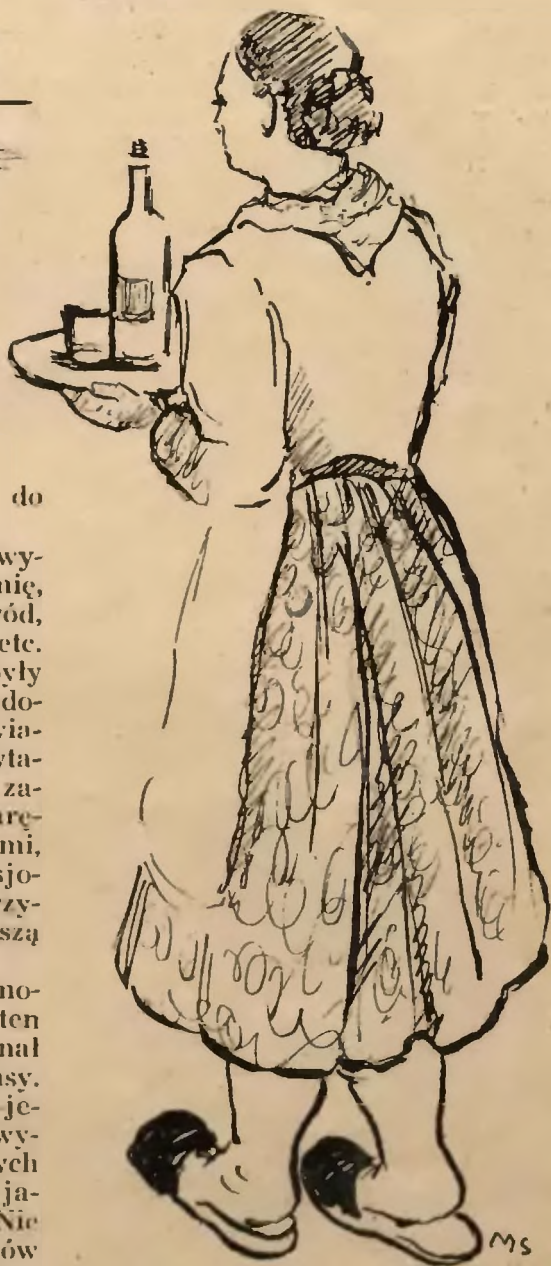
— Niema teraz pociągu. Kolejka, którą przyjechalśmy, odchodzi dopiero jutro po południu.

Para młodych wycieczkowiczów zdawała się żywo intrygować gospodynię. Chodziła ona bez przerwy tam i z powrotem, to przyniosła talerz, to nóż, to wracała z łyżką, lub odbiegała z widełcem. Ciekawość jej powodowała niezręczność i roz-targnienie.

Trzech mężczyzn pojawiło się nagle na tle głębokich ciemności. Spojrzeli ze zdumieniem na Piotra i Dorothy i zasiedli hałaśliwie przy stole w kącie najbardziej oddalonym od dwojga obcych przybyszów. Duże ich ręce były czarne od żywicy; oczekując na wino, które zamówili, zdrapywali paznokciami zaschnięte na ich twarzach ciemne krople.

Podczas gdy gospodyni podawała im ciężkie czerwone wino w grubych szklankach, wypytywali ją o coś w miejscowej gwarze, co zdawało się jeszcze bardziej podsycać ciekawość oberżystki. Ci ludzie byli stałymi klientami, mieli więc, oczywiście, prawo wiedzieć, kim byli ci obcy podróżni, którzy jakby spadli z nieba do ich królestwa i którzy żądali dwóch pokoi, skoro jeden powinien im być zupełnie wystarczyć.

Oberżystka postawiła butelkę na stole, następnie schwyła dwie kar-



tki i kalamarz i zwróciła się do dwojga młodych.

Piotr i Dorothy wpisali wiele wymaganych danych: nazwisko, imię, datę i miejsce urodzenia, zawód, skąd przybyli, dokąd się udają, etc. Lecz mimo, że ich zeznania były wystarczające dla władz, nie zadowolili gospodyni. Dorothy odpowiadała grzecznie na dodatkowe pytania, które jej zadawała; Piotr zachował milczenie. Nie, nie byli zaręczeni. Byli po prostu znajomymi, mieszkającymi w jednym pensjonacie w Paryżu. Postanowili przyjechać tu, by wyruszyć na pieszą wycieczkę w landy.

— Nie trzeba mówić tej kumsze, że straciłem posadę i że ten idiota, twój profesor śpiewu, uznał za słuszne usunąć cię ze swej klasy.

Oberżystka obserwowała ich — jedno po drugim — z nieufnością; wysilała się, by zrozumieć treść tych słów wymawianych w języku, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała. Nie spotyka się bowiem nigdy turystów w landach; nie ma tam bowiem nie do zobaczenia, prócz milionów poranionych drzew i ludzi, którzy zadają im męki.

Zabrali się do jedzenia. Dostali surową szynkę bajońską, pieczoną

kaczkę i czerwone wino, które dra-pało w gardle, jakby protestując przeciwko piciu go.

Trzej zbieracze żywicy, rozparci na krzesłach, pochylali się nad swy-

mi szklankami, ściskając je nabrzmiałymi, brudnymi łapami, jakby się bali, żeby im nie frunęły ku górze. Od czasu do czasu któryś z nich natrafiał na resztkę skrzepłej żywicy na swym policzku; zdrapywał ją ostrożnie paznokciem i czyścił następnie palec, ocierając go o kant stołu.

Gdy przy końcu wiczerzy, oberżystka przyszła z dwoma filiżankami czarnej kawy, znowu usiłowała podjąć rozmowę.

— To ładny kawałek drogi z Paryża do land — podsunęła. Dorothy przytaknęła; ta stara ciekawska bawiła ją.

— Ta okolica interesowała nas — wyjaśniła. Mówiono nam o niej w szkole. Powiedziano nam, że tutejsi ludzie chodzą na... na... oh! — na szczydlach!

Zawahała się chwilę zanim wy-mówiła to ostatnie słowo, które jej na chwilę wypadło z pamięci i za-brzmiało potem osobno w ciszy sali.

Trzej mężczyźni podskoczyli. Nie uchwycili dobrze znaczenia słów Dorothy z powodu jej angielskiego akcentu, lecz wyraz „szczydła” uderzył ich. Zażądali, by oberżystka wyjaśniła im w gwarze, co powiedziała turystka. Gospodyni, dumna ze siebie, starała się ich objaśnić. Ci trzej — to jej wierni klienci, mieli prawo wiedzieć.

Następnie każdy z nich połknął łyk wina i otarł sobie usta wierzchem dłoni. Najstarszy zadał jakieś pytanie. Z pośpiechu, z jakim kobieta przetłumaczyła je im, Piotr i Dorothy zrozumieli, że sama ona pałała od dawna chęcią zadania im go.

— On chce wiedzieć, w jakim celu państwo tu przybyli — rzekła.

Piotr, który zaczynał się niecierpliwić, obrócił się na krześle i przyjrzał się uważnie pytającym.

— Robimy wycieczki dla własnej przyjemności — odparł sucho.

Gdy gospodyni wytłumaczyła im

znaczenie tych słów, trzej mężczyźni wydali się zdziwieni. Oświadczenie Piotra, że wędrowali po okolicy dla własnej przyjemności, wydało im się tak śmieszne, że wyobrazili sobie, iż zadrwiono sobie z nich... Maszerować dla rozrywki! Nigdy dotąd nie podobnego nie słyszeli!

— Państwo nie nie sprzedają? — pytała zdumiona oberżystka. — Państwo nie mają nie w swoich workach?

Piotr odpowiedział, że, istotnie, nie mają nie do sprzedania. Zrobili wycieczkę w landy. To wszystko.

Piotr i Dorothy potem zdali sobie sprawę, że właśnie w tym momencie zaczęła się ich ciekawa przygoda.

Jednocześnie doznali wrażenia, jakby ktoś przestąpił próg szeroko otwartych drzwi, poza którymi panowała ciemność nocy, i dostał się do izby oberży; ta tajemnicza obecność napelniała przerażeniem zarówno oberżystkę, jak jej trzech klientów, na twarze których wystąpiły krople potu. Kot, drzemający dotychczas w kącie, wyszedł z izby, oglądając się ze strachem za siebie.

— Spacerują sobie, jak czynił to Złota Noga — rzekł drżącym głosem najmłodszy z trzech mężczyzn.

Jeden z jego towarzyszy, który sięgnął po wino, upuścił swą szklankę, a zawartość jej rozlała się po stole i zaczęła kapać na podłogę. Trzeci przeżegnał się ukradkiem.

Gospodyni obróciła się i patrzyła we drzwi. Cisza stała się tak głęboka, że można było słuszeć szelest kropli, spadających na podłogę.

Piotr spojrział na Dorothy. Oczy młodej dziewczyny były szeroko rozwarte. Tylko one widoczne były w jej twarzy. Piotr poczuł złość.

— Ktoś to jest „Złota Noga”? — spytał, przechylając się w kierunku trzech mężczyzn.

Nikt mu nie odpowiedział. Zbie-racze żywicy podnieśli się nagle. Rzuciwszy kilka monet na stół, skie-

rowali się ku drzwiom i znikli w ciemnościach, nie wymówiwszy ani słowa.

Oberżystka blada, z zaciśniętymi ustami wzięła się do uprzątnięcia stołu. Gdy skończyła, znikła w kuchni, skąd dochodził szept jej ściszonej rozmowy z mężem, który został kaleką wskutek wypadku w tartaku, gdzie pracował.

Gdy nieco później Dorothy udała się do swego pokoju, Piotr usiłował jeszcze rozprościć strach, jaki ośwładnął jego towarzyszkę.

— Jeśli będziesz się bała w nocy, obudź mnie. Rozpalimy sobie ogień na kominku w jadalni. Leżą tam polana w kącie.

— Ci ludzie zachowali się tak dziwacznie — zauważyła dziewczyna. Gospodyni znikła, ci trzej mężczyźni uciekli, a jeden z nich uczynił znak krzyża!

— Jutro dowiemy się wszystkiego — rzekł Piotr. Jednak oczekując na to, nie nabijaj sobie głowy. Wie-

śniacy często bywają dziwakami. Dobranoc!

Na dworze wicher od strony Atlantyku dał silnymi podmuchami. Drzewa zaczęły cicho skrzypieć i



Dorothy, nie mogąc zasnąć, myślała sobie, czy też żywica spływa z ich ran przez całą noc tak samo, jak i za dnia.

Piotr i Dorothy poczuli się trochę mniej przejęci nazajutrz rano.

Jedli na śniadanie grube kromki chleba z masłem, popijając kawą z kozim mlekiem. Oberżystka, która zdradzała niepokój widząc, jak zabierali się do odejścia, przygotowała im zimny posiłek z reszty surowej szynki i sera, oraz dodała butelkę cierpkiego wina. Grupka osób zebrała się przed drzwiami: były tam cztery kobiety, dwóch czy trzech starszych, kilku wyrostków, oraz kaleka, mąż gospodyni. Wszyscy przypatrywali im się ciekawie, gdy odchodzący wiązali swe plecaki.

Uregulowawszy rachunek, Piotr, ciągle pod wrażeniem wydarzeń poprzedniego dnia, zwrócił się do gospodyni i spytał ją swą niepewną francuszczyzną:

— Może pani będzie uprzejma i objaśni mnie, dlaczego wszyscy uciekli wczoraj wieczorem, gdy zapytałem, kto jest ten „Złota Noga”.

Oberżystka cofnęła się bez odpowiedzi, kryjąc się za plecami swego męża. On to właśnie przemówił zamiast niej:

— Niebezpiecznie jest wymawiać to imię w nocy. Pan źle zrobił, mówiąc o tym, gdy w lesie było ciemno.

Piotr, coraz bardziej zaintrygowany, zaryzykował nowe badanie. Kaleka wydawał się nieswój, jak gdyby odgadywał, o co go zapytają.

— Dlaczego my jesteśmy do niego podobni — spytał Piotr — chociaż przechadzamy się tylko wśród sosen, nie czyniąc nikomu nic złego?

Mężczyzna pomyślał chwilę, zanim odpowiedział, jak gdyby chciał

rozważyć swe słowa, by nie powiedzieć za dużo.

— On właśnie przechadza się w nocy wśród lasu na swych wysokich szczydlach — rzekł wreszcie.

Mimo ciepłych już promieni słońca, Piotr poczuł lekki dreszcz. Spojrzał badawczo na swego rozmówcę.

— Gdzie jest ten człowiek? — spytał.

— Umarł — odrzekł kaleka. Następnie dorzucił szybko: — Do widzenia państwu, do widzenia!

Poczem obrócił się i poszedł ku lejąc do domu. Inni, obawiając się widać pytań, usunęli się, jak gdyby turyści byli zapowietrzeni.

— Skoro ten stary „Złota Noga” umarł, nie potrzebujemy się go obawiać — rzekł Piotr do Dorothy, zmuszając się do uśmiechu. Chodźmy! W drogę! Rzeczywiście winszuję ci wyboru. Ten kraj jest istotnie ciekawy!

Droga, o ile można było wierzyć zniszczonemu drogowskazowi, prowadziła do Saint-Julien-en-Born. Była ona kręta, zdawała się mieć trudności w torowaniu sobie przejścia poprzez gąszcz drzew. Sosny robiły rzeczywiście wrażenie, jakby się tłoczyły zewsząd, aby ją zagłuszyć. Można by rzec, że usiłowały przeszkodzić przejazdowi z naczyniami napełnionymi żywicą.

Młodzi ludzie nie spotkali nikogo na drodze, lecz mogli sobie szybko zdać sprawę z tego, że ich zjawienie się było już zasygnalizowane. Nie było domów przy drodze, lecz zauważyli oni w niebiesko-zielonawej głębi lasu postacie ludzkie, przechodzące od drzewa do drzewa. Na ich widok ludzie ci przerywali pracę i zamieniali kilka słów w niezrozumiałym języku. Stojąc nieruchomo, przyglądali się dwojgu piechurom, a czasem promień słońca błysnął lśnieniem na ostrzu ich siekier. Wrażenie było ciekawe.

Przybywszy około trzech kilometrów, Piotr i Dorothy zatrzymali się, by przyjrzeć się mapie drogowej. Między nimi a oceanem ciągnął się las de Lit-et-Mixe; rozległe nagromadzenie sosen, pod którymi mogłaby się ukryć cała armia. Dalej był las de Contis, a jeszcze dalej lasy de Sainte-Eulalie i Biscarosse. Wszystko to tworzyło hektary i hektary „pinus pinaster“, a każda z nich miała na swym pniu otwartą ranę, skąd sączył się sok do zbiornika umieszczonego poniżej nacięcia.

Piotr przyglądał się chwilę temu olbrzymiemu zielonemu morzu; następnie rzekł, by przerwać ciszę:

— W każdym razie nie brakowało przestrzeni do nocnych wędrówek temu osławionemu „Złotej Nodze“!

Odpowiedział mu okrzyk z sąsiednich zarośli. Obrócił się i znalazł się oko w oko z młodzieńcem, który zbliżył się bezszelestnie po dywanie, jaki tworzyła gruba warstwa igieł sosnowych. Był to szczupły chłopak o szczerej twarzy. Lekki jasny puch

pokrywał jego policzki, nietknięte jeszcze brzytwą. On także miał przy sobie siekierkę.

— „Złota Noga“! — powtórzył — pan mówił o „Złotej Nodze“?

Piotr, opanowawszy zdumienie, powiedział, że, istotnie, wymówił przezwisko tej tajemniczej osobistości, której nie brakło miejsca dla nocnych wycieczek.

Młodzieniec zdawał się tracić oddech; Dorothy odniosła wrażenie, że był podobny do jakiegoś młodego zwierzęcia, gonionego po przez lasy. Zaczął od tego, że z zaciękwieniem obszedł dokoła obcych przybyszów. Potem przykucnął w pobliżu Dorothy, kiwając się zrezygnie na obcasach swych ciężkich drewnianych sabotów. Popatrzył na młodą dziewczynę i uśmiechnął się. Ona nawzajem oddała mu ten uśmiech. Odczuwała przyjemność na widok jego młodości i prostoty.

Zaczął mówić; nie gwarą, ba, pięknym prowansalskim dialektem. Nie pochodzi z land — wyjaśnił. Przybył do tego kraju jedynie po to, by pomóc swojemu wujowi, który



zaniemógł. Ten wuj właśnie opowiedział mu historię o „Złotej Nodze”. Jeszcze nie minął tydzień od tej chwili, zachował więc świeżo w pamięci tę opowieść.

— Może więc wreszcie dowiemy się prawdy! — rzekł po angielsku Piotr do swej towarzyszki.

Potem opowiedział młodzieńcowi, którego ciemne oczy, podobne do oczu szczonego zwierzęcia, zwracały się ze zdziwieniem to na jedno, to na drugie, o tym, co zdarzyło im się poprzedniego wieczora i o ciekawości, jaka nimi owładnęła.

Fizjonomia chłopca zajaśniała nagle radością narratora. Nie ma większej radości na świecie! Oni nie wiedzieli, kim był „Złota Noga”. Nie słyszeli historii o nim? Pochylił się ku przodowi jakby z lękiem, jaką usłyszy odpowiedź, jak gdyby jeszcze nie ufał szczęśliwemu losowi, że będzie mógł im opowiedzieć tę historię.

Powoli, w słowach telnących jakąś cudownością zaczął swe opowiadanie. W głębokiej ciszy lasu głos jego wywoływał lekki dreszcz w obojgu słuchaczach.

„Złota Noga” był Baskiem, który zapragnął poznać świat. Udał się do Anglii. Tam pracował, Bóg jeden raczy wiedzieć, w jaki sposób, w każdym razie powrócił ze złotem, ze sztukami angielskiego złota! Ah, wiele złotych monet!

Działo się to dwadzieścia pięć lat temu, być może nawet trochę dawniej; czas nie ma znaczenia w landach! Wszyscy wiedzieli dobrze o jego szczęśliwym losie, wszyscy bez wyjątku od basenu Areachou aż do ujścia Aduru, ponieważ sosny gadają ze sobą, jak stare baby. I dla wszystkich — mężczyzn, kobiet, dzieci był on dotąd znany, jakkolwiek nazywał się Juliusz Dupić, pod przydomkiem „Złota Noga”.

A czy państwo wiedzą, dlaczego? Nie? Żaraz im powiem. Otóż ten Dupić wziął długie szczudło, wydrą-

żył je starannie, ponieważ zręczny był do takiej roboty, i w zagłębiu w ten sposób utworzonym umieścił sztuki złota, przywiezione z Anglii. Biedny głupiec wyobrażał sobie, że nikt się tego nie domyślał. Siadywał całymi dniami ze szczudłem, nie podejrzewając, że całe landy szeptały sobie o jego tajemnicy.

— Pewnej nocy — ciągnął młodzieńiec jeszcze cichszym głosem — ktoś dobrał się do chaty „Złotej Nogi” i zamordował go. Zmasakrował go siekierką podobną do tych, jakich używają zbieracze żywicy. poczem złamał szczudło zawierające złoto. Zabrał wszystkie monety i uciekł...

„Złota Noga” żył jeszcze, gdy znaleziono go nazajutrz rano. Ksiądz z Uze przybiegł, lecz on nie chciał go widzieć. To był dziki i okrutny człowiek, ten Dupić. Na chwilę przed wydaniem ostatniego telnienia, siadł na łóżku, podniósł w górę prawą rękę i złożył uroczystą przysięgę. Będzie niepokoił od tej pory landy, przebiegając każdej nocy las na wysokich szczudłach, wyższych niż wierzchołki drzew, jeśli będzie trzeba, w poszukiwaniu swego zabójcy. Gdy wypowiedział słowa tej przysięgi, opadł na łóżko i skonał.

Zbrodniarza nie udało się wykryć i żadna ze sztuk złota nieszczęsnego „Złotej Nogi” nie pojawiła się w okolicy. A „Złota Noga” błakał się ciągle. W bezksiężycowe noce, słyszano, jak krążył wśród sosen i łowiono uchem szelest jego szczudła, ocierających się o gałęzie.

Gdy opowiadający zamilkł, Piotr i Dorothy pozostali chwilę w milczeniu. Po ich wczorajszej przygodzie opowieść młodzieńca uczyniła na nich wrażenie.

Ten ostatni przemówił pierwszy.

— Czyż to było tak łatwo w Anglii dorobić się złotych monet? Mo-



net podobnych tym, jakie przyniósł ze sobą „Złota Noga“!

Dorothy uśmiechnęła się. Odpowiedziała mu, że przeciwnie — były one wielką rzadkością. Teraz nie widuje się ich. Sama posiada taką jedną sztukę, którą dostała od jednego ze swych wujów po pierwszym egzaminie. Zawsze ją ma przy sobie jako talizman.

Pokazała ją chłopcu, który ją poglądził swymi długimi ciemnymi palcami. A więc to był rulon monet podobnych do tej, które zabójca „Złotej Nogi“ zagrabił? Jeśli mu się zdarzy, że spotka mężczyznę, posiadającego wiele takich monet, będzie wiedział, że to zabójca i natychmiast doniesie o tym policji, aby otrzymać nagrodę.

— Naznaczono nagrodę? — spytał Piotr.

Młodzieniec wyjaśnił, że stary Markiz de Lestrelle, który mieszkał

w Sainte-Eulalie, przeznaczył, umierając, pięć tysięcy franków w złocie temu, kto dostarczy wiadomości, pozwalających wykryć winnego. Suma ta była stale do dyspozycji. Notariusz z Sainte-Eulalie miał ją w swej pieczy.

Podmuchał od Atlantyku pięścił wierzchołki drzew. Potrzasały one głowami, jak stare kumoszki. One wiedziały dobrze, kto zabił „Złotą Nogę“, lecz bynajmniej nie zależało im na nagrodzie! Wszystko, czego pragnęły — to słońca i deszczu i może jeszcze życzyły sobie, by je uwolniono od tych naczyń, zawieszonych pod ich ranami.

— Chodźmy! — rzekła Dorothy. Ja... ja się boję!

Pożegnali więc młodzieńca i udali się w drogę, a drzewa zdawały się asystować ich przejściu przez las, jak wieśniacy przyglądający się procesji. Dorothy była przeko-

nana, że one wiedziały o jej miłości dla Piotra i o jego wzajemności i o tym, że nie mogli się pobrać, gdyż byli za biedni i, że wszystko, na co mogli sobie obecnie pozwolić, to była dobra i szczerza przyjaźń, dająca im swobodę podróżowania razem w ten sposób. Tak! One rozumiały ją, te drzewa; te drzewa, które, jak to powiedział młody chłopak, szeptały między sobą, aby mówić o swym męczeństwie, o swym wiecznym męczeństwie!

Piotr i Dorothy zjedli śniadanie nad brzegiem strumyka, płynącego do oceanu. Odtwarzali sobie w pamięci słowa młodzieńca i historię, jaką im opowiedział.

— Wystarczyło by ci, rzekł śmiejąc się Piotr, wpaść na ślad, który pozwoliłby odkryć zabójcę tego starego pocziwca, by zdobyć nagrodę. Dzięki temu mogłabyś studiować przez rok w Monachium. Pomyśl, że chodzi o pięć tysięcy franków w złocie, które dziś mają wartość dziesięciokrotnie większą!

Dorothy odrzekła, że nie wie, w jaki sposób oni mogliby mieć więcej o tym wiadomości, niż ludzie w okolicy.

— Nigdy nie wiadomo, odrzekł Piotr. Wydaje mi się dziwne, że tak ci zależało na przyjeździe w te strony. A następnie, dlaczego wszyscy ci wieśniacy mają wrażenie, że jesteśmy zamieszani w tę sprawę? Wszystko to jest intrygujące.

Znów ruszyli dalej. O zmierzchu dotarli do jakiegoś miasteczka. Właścicielka jedynego hoteliku oczekiwiała na nich. Powiadomiono ją o ich nadejściu. Wiedziano ich na drodze. Wiedziała już o tym, że potrzebne im były dwa osobne pokoje i że wędrowali po przez landy.

— Tak, dla sportu — rzekł Piotr.

Dama parsknęła śmiechem. Żart był dobry.

— Oto dzielna kobieta — rzekł Piotr do Dorothy, która prawdopodobnie nigdy nie wytknęła nosa po-

za swoją okolicę. W jej oczach ludzie podróżujący są dziwacznymi istotami. Gdyby ujrzała dwunastu apostołów, nadchodzących drogą, przyglądałaby się im podejrzliwie.

W ogólnej sali, gdzie spożywali obiad, byli też zbieracze żywicy. Oni także byli wtajemniczeni. Szepotali, przysłaniając usta dużymi, czarnymi rękami i przyglądając się badawczo dwojgu przybyszom.

— Tak, rok w Monachium byłby dla ciebie z wielką korzyścią... mówił Piotr, podnosząc z nad talerza oczy.

Policjant wszedł do jadalni i skierował się ku nim. Podszedłszy do ich stołu, podniósł grzecznie rękę do swego kepi i poprosił ich o papiery. Najwidoczniej plotki doszły i do jego uszu. Lecz papiery ich były w porządku, odszedł więc, zsalutowawszy po raz drugi.

Ta wizyta zdawała się budzić niepokój widzów. Nie spuszczała oka z dwojga obcych, chyba tylko na chwilę, by z pewnego rodzaju lekkim spojrzeć na otwarte w ciemność drzwi. Ten sam nieokreślony, tajemniczy nastrój, jak i poprzedniego wieczora, panował w sali. Gdy Piotr i Dorothy skończyli swój posiłek, podnieśli się, by pójść do swych pokojów. Wychodząc, powiedzieli „Dobranoc!”, lecz nikt im nie odpowiedział.

Nazajutrz rano padał zimny deszcz, zacinany wiatrem od strony oceanu. Dwoje przyjaciół patrzyło melancholijnie na ociekające drzewa, które w czas ulewy przypominały bardziej jeszcze męczenników. Przystudiowali mapę.

— Moglibyśmy na nocleg iść do Bias — poddał Piotr — i tam rano wsiąść w pociąg, który by zawiózł nas w kierunku cywilizowanego świata.

— Zrobione! — zawołała Dorothy. Możliwe, że ten stary „Złota

„Noga” lubuje się w błądzeniu po tej okolicy, ale co do mnie – mam tego zupełnie dosyć!

Ubrali się więc i skierowali na rozmiękłą od deszczu drogę; grupa milezących wieśniaków przyglądała się ich odejściu. Byli zmartwieni, że ich wycieczka kończyła się tak smutno. Nastrój tajemniczości, jaki zdawał się ich otaczać od chwili przybycia w te strony, drażnił ich i jednocześnie denerwowała ich widoczna podejrzliwość, jakiej im nie szczędzili mieszkańcy. Radzi nie radzi zrozumieli, że ich wyprawa kończy się fiaskiem.

Po południu deszcz zdwoił swą gwałtowność. Schronili się pod rozłożystym drzewem. I gdy tam czekali przemoknięci i zniechęceni, zbliżył się do nich jakiś zbieracz żywicy, człowiek w starszym wieku, o surowej twarzy.

Dorothy usiłowała nawiązać rozmowę. Spytała go, jak oceniał liczbę drzew w lesie Contis, ciągnącym się na przestrzeni około ośmiu kilometrów między traktem a morzem. Mężczyzna pokiwał głową i rzekł, że chyba tylko Pan Bóg mógłby odpowiedzieć na takie pytanie.

Piotr i Dorothy znajdowali, że zachowywał się dziwnie. Wyglądał trochę na wariata. Ciemne jego i błyszczące oczy nie odrywały się od młodej dziewczyny. Przyglądał się jej turystycznemu ubiorowi z taką uporczywością, że miała wrażenie, jakby stała nago pod jego przeszywającym wzrokiem.

Nagle, opuścił ich i skierował się ku młodej jeszcze nie naruszonej sośnie. Wzniósł swą siekierkę, lecz zanim ją opuścił, wymówił głośno kilka niezrozumiałych słów. Jego poważny głos brzmiał przejmująco.

— Co on mówi? — spytała Dorothy.

Piotr był zaciekawiony.

— Sądzę, że to rodzaj zaklęcia — odpowiedział szeptem.

Siekiera zakreśliła łuk i opadła.

Drzewo zadrżało. Narzędzie znów się podniosło i uderzyło powtórnie. Za każdym ciosem odłamki drzewa odskakiwały z pnia. Z taką samą starannością, z jaką pracowałby chirurg, mężczyzna wyrównał nacięcie, następnie umieścił zbiornik poniżej rany.

Odstąpiwszy na kilka kroków, wyjaśnił swe postępowanie, a słowa jego niezręczne i szorstkie nappełniły lękiem serce Dorothy. Powiedział, że nigdy zanim zada cios młodej sośnie, nie zaniedbuje prosić ją o przebaczenie.

Dorothy zbladła nagle.



— Chodźmy dalej! — rzekła bez tchu.

— Pada coraz lepiej — przeciwstawił się Piotr.

— Wszystko mi jedno! Boję się! krzyknęła dziewczyna.

Rzucili się ku drodze bez słowa pożegnania dla dziwnego towarzysza.

Schronili się w pierwszej napotkanej obozowisku. Byli przemoknięci. Gdy usiłowali jako tako się osuszyć, zjawiała się grupa zbieraczy żywicy. Zasiadli do stołu, przyglądając się im z ciekawością.

— Czytałem w tygodnikach — mówił Piotr, próbując dać dowody wesołości — piękne opowiadanie, w których młodzi ludzie i młode pan-ny robili uroczyste wycieczki przy tak pięknej pogodzie, że nie troszczyli się wcale o noclegi i spali pod gołym niebem na stogach siana!

Dorothy nie odpowiedziała, ponieważ w tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie pod naciskiem widzów i weszli nowi klienci. Między nimi znajdował się mężczyzna, który prosił o przebaczenie sosnę, zanim ją naciął.

Burza teraz szalała. Obozowisko stało się schronieniem, dokąd napływali z okolicznych stron zbieracze żywicy. Nadbiegali śpiesznie, jakby gnani błyskawicami. Policjant, ten sam z poprzedniego wieczora, zjawił się także ze swym rowerem, który oparł o ścianę w rogu sali. Zrobiono mu miejsce. Ubrania wszystkich tych stłoczonych ludzi parowały i obłoczki lekkiej mgły wily się nad ich głowami. Przypominało to Dorothy pewien obraz — „Sabat czarownic“ —, który kiedyś uczynił na niej wrażenie.

Wydarzenia tego dnia silnie wstrząsnęły młodą dziewczyną. Doznawała wrażenia, że jakiś złośliwy duch krążył w tym kraju męczenników, gdzie nieczłeczni Torquema-

dowie uzbrojeni w siekiery kaleczyli drzewa. Wzrok tej dziwnej istoty ciągle był utkwiony w Dorothy, ten wzrok, który ją obnażał i który zdawał się ją uważać za wroga.

— Jeśli zacznę płakać, nie zwracaj na to uwagi — rzekła cicho do Piotra. Jestem trochę zdenerwowana.

Zagłębiła rękę w plecaku, by wyciągnąć zeń chustkę. W tej chwili oślepiająca błyskawica oświeciła salę, rozległ się straszliwy huk piorunu, a w ciszy, jaka nastąpiła potem, usłyszano dźwięk monety podskakującej po podłodze.

Moneta potoczyła się aż na środek świetlistego kręgu, jaki rzucała jedyna naftowa lampa; po dwóch, czy trzech małych obrotach wokół samej siebie, zatrzymała się, padając. Dorothy wstała, by ją podnieść. Była to sztuka złota, którą pokazywała młodzieńcowi w lesie i która wypadła z jej chusteczki.

Lecz ktoś ją już wyprzedził. Mężczyzna o dziwnym spojrzeniu rzucił się naprzód z okrzykiem zdumienia. Jego zgrubiałe palce zawładnęły monetą i trzymał ją, ścisnąjąc w swej wielkiej, szerniałej łapie.

Piotr skoczył na równe nogi.

— Ten pieniądz należy do pani — rzekł. Zechce pan go oddać jej.

Mężczyzna zaprotestował grzmiącym głosem. Krzyczał tak głośno, że zagłuszał huk grzmotów. Pieniądz należał do niego! Wypadł z jego kieszeni!

Stał teraz na samym środku. Widzowie, zgrupowawszy się wokół, patrzyli nań z przerażeniem. Wyglądał niezupełnie przytomnie.

Następnie zdawał się silić na usmiech. Może być, że się myli Pani, być może, ma słuszość. Niezdarnie podszedł do stołu i położył na nim złotą monetę.

Zapanowała uroczysta cisza. Położywszy pieniądz, uczynił pół obrotu i skierował się ku drzwiom.

Lecz policjant zagroził mu drogę.

— Dlaczego to, zapytał ten ostatni, uważał pan, że to właśnie pan upuścił tę złotą monetę?

Mężczyzna nie odpowiedział ani słowa; lecz, jakby nagle poczuwszy odprężenie nerwów, rzucił się ku drzwiom. Przedstawiciel władzy schwycił go w pół i obaj przeciwnicy runęli na podłogę, przewracając krzesła i stoły. Po krótkiej chwili udało się policjantowi nałożyć mu kajdanki, co uczyniwszy pchnął go pod światło lampy.

Na szyi miał on zawieszony nie-

wielki, skórzany woreczek. Policjant otworzył go i wyrzucił zeń na stół złote monety, jakie zawierał.

Piotr schwycił dłoń swej przyjaciółki.

— Dorothy! — krzyknął. — Otrzymasz nagrodę! To dzięki tobie go schwytano. Dorothy! Popatrz! Odpowiedzcie mi!

Lecz Dorothy osunęła się z krzesła — zemdlona.

J. M. DWYLR

tlum. J. Lisicka

rysunki M. Szczesniewskiej





*Z zabawy kostiumowej „Tobisu”; Irena Meyendorff, Herman Braun i Dinah Grace
fot. Polski Tobis*



Jeden dzień w St. Cloud

Zwiedzaliśmy Paryż w 1937 roku. Każdy mógł znaleźć w pawilonach wystawy to, co go najwięcej interesowało, nauczyć się wiele, rozbudzić ciekawość do rzeczy nowych; poza tym sam Paryż, miasto muzeów, wspaniałych gmachów, cud urbanistyki — musiał porwać wszystkich nas bez wyjątku.

Chwilami jednak, może sprawiało to zmęczenie, stawał się nasz wymarzony Paryż wielojęzycznym zgiełkliwym miastem przykrych kontrastów, a kolej podziemna (słynne métro) mknęła z szaloną szybkością z jednego końca na drugi — pojazdem piekielnym.

W takich chwilach szukało się odruchowo wytchnienia za miastem.

Dzień sprzyjał wędrówce; pociągnęło mnie nad Sekwanę. Pont du Sévres w blasku słońca... radosna

zielen tamtego brzegu... pogodne odbieży spotykanych przechodniów.

Za miastem szłam drogą (Route Nationale) w kierunku północnym, cały czas wzdłuż parku tej samej nazwy. Mijałam fabrykę Sewrskiej porcelany w wieńcu starych drzew. Południe. Przeciągnęły ostatnie ciężkie furgony, ani śladu aut i motocykli, czasem tylko śmignął rowerzysta, — to sakramentalna godzina posiłku. Na trawie, w cieniu kasztanów grupa ludzi w opylonych, aż białych roboczych bluzach.

Docieram do miasteczka, z daleka widać wieżę kościoła, trójkolorowa chorągiew powiewa na gmachu merostwa. To St. Cloud — cel mej podróży.

Dziwne wrażenie zrobiły na mnie drzemiące w krętych uliczkach skupione domy o wąskich oknach i to ciche, jakby zapomniane St. Cloud tuż koło wielkiego Paryża.



Prowincjonalny placyk, na środku kościół romański.

Niby w teatrze przesuwają się przed moimi oczami postacie niepodobne do ruchliwych sylwetek Paryżan. Nikt tu się nie śpieszy, nie

słychać gwaru. Jakieś dwie kumoszki w areyśmiesznych kapeluszach przystały sobie z koszami, malowniczy żebrak, dwie małe przyjaciółki, trzymające się pod rękę, oficer w képi. Dobre słońce złoci



i przymilało, aż pani pogłaskała jego wygięty grzbiet.

Na ogół pusto było w gospodzie, w pewnej chwili wpadł jakiś „typ“ z baczkami, w cyklistówce i szaliku na szyi. Wpadł wypić, stojąc, szklankę wina i pogadać. Zwierzał pani Blanche swe troski, żywo gestykulując.

— Będzie deszcz, Pani Blanche, ja to czuję, mój barometr zawsze mówi prawdę — wymowny chwyt za kolano towarzyszył smutnemu refrenowi.

— Bohi, chodź tu piesku, chodź mój mały — wołał „typ“.

W drzwiach stał ogromny, kudla-

plac, ludzi i baranka z St. Cloud, który wylania się z głębi rozety nad głównym wejściem kościoła.

Zaledwie zdałam sobie sprawę z teatralności otoczenia, podświadomie oczekując pierwszych tonów orkiestry i zjawienia się Małgorzaty, gdy spostrzegłam niewielki pomniczek Gounod'a, wyrastający tuż przy mnie. Autor Fausta, urodzony w Paryżu, zmarł w St. Cloud w 1895 roku.

Zmiana dekoracji: gospoda, jakich wiele; korpulentna niewiasta, stojąc w drzwiach kończy rozmowę z sąsiadką z drugiej strony ulicy; widząc wchodzącego gościa, zaprasza go, drepcze zapobiegliwie, by zamówił obiad przez okienko, wrócić za swój kontuar.

Czarne, lśniące kocisko znalazło się tuż na kontuarze i póty lasiło się



Gruźlica płuc jest nieublagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporeczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Tricolan Age” (dawniejsza nazwa „Balsam Thio-colan Age”), który ułatwia wydzielanie się płwociny, zmniejsza kaszel.

ty pies jakiejś bliżej nieokreślonej rasy.

Gdy gość wyszedł, pani Blanche usiadła koło mnie, z rozmowy wynikało, że mam kupić Fortepian. Broniłam się, jak mogłam, motywując tym, że taki nabytek sprawiłby mi pewien kłopot w podróży.

— Może jednak pani kupi, — obstawała gospodyni — okazja! Bardzo dobry instrument!

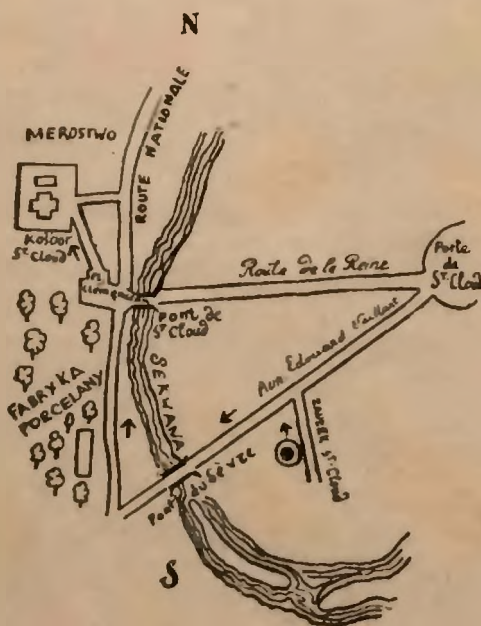
Fortepianu jednak nie kupiłam. Po opuszczeniu gospody schodziłam w dół spadzistej ulicy; już nie znalazłam starego, cichego St.Cloud — tylko nowoczesną, ludną jego dzielnicę. Wzmógł się ruch pieszy i konny... jaskrawe szyldy sklepów i restauracji... echa gorączkowego życia w wołaniu sprzedawców gazet: „Paris Soir!” „Paris Seir!”

Mrok szarzał. Znowu mijam te same przydrożne drzewa i wielki masyw kasztanów przy fabryce Sewrskiej porcelany; most zdaje się z trudem dźwigać ciężkie wozy i zakurzone auta. Burza wisi w powietrzu, czuję na twarzy pierwsze krople deszczu.

Tak minął i przeżył się jeden pogodny dzień w St. Cloud.

M. CIĄGLIŃSKA

Rysunki autorki



„Z poza granic naszych świadomości“

Pozналиśmy się przypadkowo, na ulicy, upadła mi torba i młody człowiek, który przechodził obok mnie, podał mi ją. Spojrzeliśmy sobie w oczy i zostaliśmy zaskoczeni, czymś dziwnym: oto twarze nasze wydały się nam odnalezione, nagle w mrokach zapomnienia, a nie widziane pierwszy raz. Uśmiechnęliśmy się do siebie i mężczyzna poszedł ze mną. Byliśmy ładni oboje; nie! nie banalnie, lub uderzająco ładni, nie tak; tylko nasze postacie, oczy, usta tchnęły urokiem harmonii. Dwudziestośmioletni mężczyzna, w sportowym ubraniu, średniego wzrostu, prosty, zręczny, o dobrze rozwiniętych mięśniach, z oczami błyszczącymi siłą.

Dwudziestośmioletnia kobieta wzrostem mniejsza od niego, dobrze ubrana, szczupła, ładna, urocza i pewna siebie; dwie istoty olśnione i zdumione sobą. Przez tydzień spotykaliśmy się co dzień; na spacerach, w cukierni, w kinie, oto wszystko; nie pocałował mnie ani razu, nigdy nie powiedział, że mnie kocha, tylko, gdy byliśmy razem, doznawaliśmy uczucia, że nasze ja dopełniają się sobą wzajemnie, że dopiero w tych chwilach stajemy się istotami skończonymi i szczęśliwymi. Przy przypadkowych dotknięciach rąk błędliśmy, uśmiechami sięgaliśmy sobie wzajemnie w głąb. Spojrzenia nasze wzajemnie zabierały się sobą, po przez rozstania, jako coś materialnego, bezcennie drogiego i trwałego. Nazwiska nasze: moje Tareźnu, a jego Rozostowicz, słyszeliśmy w duszach, jak głos przeznaczenia. Imionom mojemu Elżbieta, jego Oskar nadawaliś-

my w myślach pieszczotliwe brzmienia, które czyniły je najmilszymi na świecie.

Po tygodniu wyjechał za granicę. Za pośrednictwem krewnego, mieszkającego stale w Rio de Janeiro, jako inżynier budowniczy zawarł umowę na budowę olbrzymiego bloku domów robotniczych dla polskiej kolonii. Odprowadziłam go na dworzec, przy pożegnaniu nie powiedział że wróci, że będzie pisał i ja nie mówiłam o tym, mimo to, wiedzieliśmy, że wyjazd jego nie rozdzieli nas, jakkolwiek nasza dziwna sprawa, z której zostanie wyeliminowane słowo i dotyk, zatrzyma się odtąd, pozornie na martwym punkcie.

Gdy pociąg ruszył doznałam natychmiast cudownego uczucia jego bliskości i uczucie to już nie opuszczało mnie. Wiedziałam o nim wszystko i miałam pewność, że on wie wszystko o mnie.

Przeżywam zły, ciężki moment, potrzeba mi czegoś sereca i oto natychmiast owiewa mnie kojące, ciepłe tchnienie. Oskar! Widzę go o szerokich ramionach, w białych spodniach i kasku ochronnym na głowie. rzucił donośnym głosem rozkazy ludziom na budowie. Drogą idzie dziewczyna w białej sukni, w sandałach na gołych stopach i niesie pod pachą małego lamparta; jest młoda, spojrzenie jej czarnych oczu z swawolną ciekawością godzi celnie w jasne oczy Oskara, on odparowuje je z uśmiechem. I odtąd dziewczyna z lampartem, co dzień przechodzi drogą koło budowy. Czuję ból, ale zabawa nie trwa długo, oto widzę pobłażliwy uśmiech Oskara.

który koi mnie; słucham, z oddali napływają słowa: „od lustra do lustra i ciągle coś nowego”... rozumiem od razu; dziewczyna kocha tylko siebie, flirty i stroje. Nie martwimy się więc, gdy pewnego popołudnia, drogą koło budowy, przejeżdża orszak ślubny, a w stroju panny młodej dziewczyna z lampartem. Zamiast lamparta ma pod ramieniem grubą rękę rozrosłego plantatora. Oskar kłania się z uśmiechem. Lata nasze dobiegają cyfry trzydziestu. Ciężkie jest życie samotnego, pracującego mężczyzny, gdy wraca do pustego domu. Nie ma kto podać mu jedzenia, przygotować kąpeli... płatna służące nie czyni tego z szczerą troskliwością. Z sercem ściśniętym smutkiem, patrzę na samotny kask, wiszący w hall'u domu Oskara. Nie znajduję w sobie zdolności do heroizmu, ale gdy pewnego dnia, w tym hall'u przy jego kasku, spostrzegam biały z szerokim rondem kapelusz damski, doznaję uczucia spokoju i naprzemian rozpaczę... Widzę kobietę zdrową, silną, wesolą, krzątającą się po domu Oskara. Widzę też jak białe jej zęby szczerzą się w uśmiechu do każdego spotkanego mężczyzny, wtedy czuję już tylko rozpacz. Z oddali napływają gorzkie słowa: „w moich oczach kokietuje byle chłystka... Sypka jest jak piasek taka przyjaźń! O! gdybyś ty mogła być przy mnie!”

Cyfry lat naszego życia dobiegały trzydziestu dziewięciu, gdy kobieta, która nie umiała trwać w miłości z godnością, straciła prawo wieszania swego kapelusza w hall'u domu Oskara. Przechodził wtedy ciężkie chwile; widziałam jego gniewną zascępiłą twarz, słyszałam awantury, krzyki, wyzwiska... Ordynarna, brutalna zaciętość kobiety, która nie chciała ustąpić z wygodnej pozycji żony, a nie umiała jej uszanować, działała na niego zabójczo. Słowa, które napływają do

mnie wtedy są przepełnione bólem: „nazywa mnie łotrem, ona, której serce nigdy nie uderzyło zgodnie z moim, od której, prócz natłaczającej, wyczerpującej zmysłowości, niczego nie otrzymałem...” „Aniele!” — usłyszałam po raz pierwszy tę najcudniejszą nazwę, streszczającą wszystko, co myślał o mnie — „aniele, tak bardzo potrzebny mi jest ktoś bliski!”

Czekałam na wezwanie, drżało ono już w falach eteru, ale nie dane mu było przyoblec się w formę realną. W tej godzinie niemal, gdy myśl Oskara krążyła około tego wezwania, do olbrzymiej wapniarki na budowie wpadł robotnik. Tylko błyskawiczny ratunek mógł go wrócić do życia, a ten, kto by mu go dał, narażał ciężko swoje życie. Widziałam moment straszny; człowiek o potwornie wykrzywionej twarzy, nie zdolny już wydać krzyku, zanurza się powoli w parzącą, gęstą ciecz, zapada stopniowo, jak lawinę śnieżną; na terenie wypadku panuje śmiertelna cisza, ludzie zamarli w bezruchu, z przerażenia... Nagle z głębi gmachu idzie Oskar; jego jasne oczy obejmują błyskawicznie sytuację i natychmiast silnymi rękami ściąga wielką deskę z rusztowania; ludzie przytomnieją i zaczynają mu pomagać; wpuszczają deskę w głąb wapniarki, obok grzęznącego człowieka i — Oskar bez namysłu schodzi po tej niebezpiecznej pochyłej powierzchni... Boże! serce zamiera mi z trwogi, jeden nieuważny ruch, a katastrofa niechybna! Ale Oskar jest zręczny i choć z trudem utrzymuje równowagę, wywleka z nieludzkim wysiłkiem nieszczęśliwego i wynosi go na rękach. Oszołomieni ludzie cisną się do niego; są wzruszeni, wdzięczni. „To człowiek!” mówią z uznaniem, „a ręce mu spaliło aż do ramion!” Oskar odpowiada z uśmiechem: „to nie moi ludzie, ale tamten będzie żył”. I choć nikt nie pono-

si winy za wypadek, tylko sam nie-ostrożny robotnik, Oskar leczy go swoim kosztem i opiekuje się jego rodziną. Sam musi poddać się kura-acji rąk.

Wtedy na widnokręgu pojawia się znowu kobieta. Dziwne związki zadzierzga życie. Ta kobieta to młoda żona starego lekarza, u którego Oskar się leczy. Piękna jak zjawisko z nieprawdziwego zdarzenia, o kłnacji róż jerychońskich, pachnąca i przylegająca jak żywica. Noce, które Oskar spędza z nią, bo-łą mnie, lecz palące pocałunki, fa-le eteru przynoszą mi to poznawa-nie przesycane zażenowaniem Os-kara i niepokojem o mnie: „anie-le, to tylko zapomnienie, przebacz, to minie!” słyszę czasem nieśmiałe słowa.

I mija, ale u niej. Ona ma dosyć! Jest zbyt piękna, żeby mogła ko-chać i poświęcić swą piękność. Roz-wodzi się z mężem, u którego szu-kała tylko oprawy dla siebie i wy-chodzi za mąż za pana, który prócz mitry książęcej w tytule ma miliony. Oskar cierpi. A ja? Ja usiłuję nie przyjmować słów z oddali, mam pierwszy raz żal do Oskara: „dla-czego nie wezwałeś mnie!” Nie ma odpowiedzi. Staram się więc nwo-lnić od niesamowitej bliskości czło-wieka, oddalonego ciałem.

Świat, w którym żyję, jest nie-ciekawy. Kobiety o ciasnym świa-topoglądzie, gromadzące w sferze za-interesowań sprawy przyziemne; nie zręczna służąca, źle plombowa-ny ząb, wyłysienie przyjaciółki, do-bry środek przeczyszczający... to tematy, w których się plawią. Ścis-kam palce ze zniecierpliwienia, slu-chając, gdy mówią i czuję się jak w błotnej, stęchłej kąpieli. Unikam więc kobiet. Cyfry naszych lat do-biegają czterdziestu pięciu; niewa-żne cierpienie Oskara trwa jeszcze, dochodzą do mnie jego uragilne sło-wa, dotyczące kobiety, która jak ży-wica, zostawiła w nim lepki, pięką-

cy ślad po sobie. Odpycham te skar-gi, mój bunt trwa także; widzę w lustrze moje lekko ukarminowane, ładne usta, gdy są hładne, są rów-nież ładne: „O, nie wiesz, jaki żar rozpala w nich tęsknota za twoim pocałunkiem!” biegnie w dal, wbrew mej woli, myśl moja, przychodzi natychmiast drżące niepokojem py-tanie: „więc kochasz mimo wszyst-ko?” „O! Boże! jakże kocham!” Ale właśnie dlatego! Do czego to prowadzi? Utrwalałam się w buncie i z zainteresowaniem przyglądałam się mężczyźnie, którego mam w po-bliżu, jest młodszy ode mnie o osiem lat, ciężki i ładny, ma leniwe oczy, usta smakosza i wielkie powodze-nie u kobiet, jest wypełniony sprośnymi myślami, ale gdy mówi do mnie słowa jego nabierają połotu i są schludne, całuje mnie w rękę kilka razy przy powitaniu. Staram się jak najprędzej umyć staramnie ręce. Wyznaczam mu żartobliwie schadzki, na które ani przez mgnie-nie nie mam zamiaru iść, a potem, z wewnętrznym śmiechem podczas przypadkowego spotkania, wysondo-wuję, według napięcia jego gniewu na mnie, ile nadziei wlewał w ma-rzenia o tej godzinie. Zwracam uwa-gę na innego: przystojny, uczciwy, sentymentalny, pisze liche wierszy-ki i kryje się z tym. Niestety stu-diuje tylko typ i bawię się doskona-le, widząc, jak moje słowa wypro-wadzają go z mało-mieszczańskiej, życiowej równowagi, i — prędko zapominam o istnieniu tego czło-wieka, jak o kamieniu przydrożnym, potrąconym stopą przypadkiem. Niespodziewanie spotykam jeszcze jednego, cienki, giętki, jak bambu-sowa laseczka, intelektualista; jego fantazyjny wybryk, pseudo erotycz-ny, osadzam pobłażliwym uśmie-chem i chłodnym panowaniem nad sytuacją, z której wychodzimy, nie-poważniemi, lecz każde w innym nastroju, ja, przelotnie zaciekawio-na psychologią wybryku, on spe-

szony i trochę beczelny. Do dalszych prób nie mam już ochoty. Czynię spostrzeżenie, że posiadani cudowną władzę, która uniezależnia mnie duchowo i cielesnie od mężczyzny: obojętność, i cieszy mnie ta władza osobliwa i rzadka. Źródłem jej jest miłość do Oskara. On pora się jeszcze ze swoim cierpieniem, pracuje nadmiernie, bawi się z sztucznym zapalem, wbrew swemu usposobieniu, robi dalekie wycieczki i pisze coś w rodzaju pamiętnika.

Myśli, przeznaczone do tego pamiętnika przyływają do mnie, już wtedy, gdy je porządkuje i mimo, że staram się ciągle jeszcze je odpychać, pozostają w mojej świadomości; z nich dowiaduję się, że dla niego ciało człowieka stanowi czarę poświęconą, w której kryje się cud wiecznego istnienia i że usta przytknięte do ciała, uświęcają się, że miłość nie może być plugawa, ani śmieszna. Ogarniam olśnieniami najgłębszego zrozumienia jego miłość do mnie; żyje ona w nim poza jego wolą i świadomością, i równocześnie on pragnie świadomie doznawać jej i nie utracić, nawet wtedy, gdy zajmuje się innymi kobietami. Przenikam ostatecznie jego mentalność i stwierdzam już bez wahań, że jest idealistą, samotnikiem zamkniętym w sobie, który ulega tylko niekiedy napływowi ufności i humoru, że nie jest próżny i nie ulega złym odruchom, lecz w gniewie jest zacięty. W miłości mojej odnajduje siebie pełnego, a moje ubóstwienie krzepi go i dlatego każdy jego czyn, tylko w mojej ocenie nabiera dla niego pełnowartości i celowości. Ze względu na mnie, nawet blache rzeczy traktuje poważnie: np. fotografia w dzienniku, która mogłaby ewentualnie dostać się do Polski i wpasć w moje ręce, zdobył bowiem sławę nie tylko jako znakomity fachowiec-artysta, ale też jako wybitny znaw-

ca polityki międzynarodowej, świetny publicysta i — człowiek dobry, nie wstydzący się miłosierdzia. Pisał w pamiętniku: „wiem, że kochasz mnie takim, jakim jestem, że ciało moje jest dla ciebie tylko kształtem przemijającym, odzieżą ziemską, ale chciałbym też podobać się twoim oczom”.

W okresie pisania tego pamiętnika cierpienie z powodu kobiety, której piękność oszłomiła go jak haszysz, przygasło... W wieczory, gdy siedział samotnie przy biurku, w myślach jego, napływających do mnie, czułam całkowite oddanie: „aniele, nie kochałem tak żadnej kobiety, jak ciebie”. Buni mój rozpyływał się w upojeniu; odpowiadałam z napięciem: „powtórz jeszcze raz!” Wtedy uśmiechał się nagle...

Cyfry naszych lat dobiegały czterdziestu ośmiu, gdy przyjechał do Warszawy. Nie napisał, tylko z oddali wskazał dzień i godzinę przyjazdu. Był czerwiec; stałam na peronie w białej sukni, moje ciało zachowało elastyczność i formę cyfry lat 26-tu, opalona i płonąca wzruszeniem skóra mej twarzy, nosi ledwie lekkie ślady znużenia doświadczaniami cyfry lat czterdziestu ośmiu; mężczyźni starzy i młodzi, mylą się i patrzą na mnie z natężoną zalotnością, która bawi mnie i natychmiast nudzi, mimo, że sprawia mi niezaprzeczoną przyjemność, konstataowanie, że odchodzą w błędzie, w przeświadczeniu, że cyfra moich lat nie może być wyższa, niż np. dwadzieścia osiem.

Międzynarodowy ekspres wpada wreszcie; z przedziałów wychodzą śpieszący się, niecierpliwi, owiani obcością ludzie. Szukam wśród nich ukochanego, którego nie widziałam dwadzieścia lat; oto on — ten pan w ciemno-szarym garniturze, szczupły, o prostych szerokich plecach, uśmiechający ogolonymi wargami, nieco bezradnie, o niebieskich, skulpionych oczach, gęstych ciemnych

brwiałach i prostym nosie, w ręku ma tylko kapelusz (za nim tragarz nie- sie walizę i neseser). Wysokość czoła wzrasta trochę sztucznie, pod prze- rzędzonymi dość silnie włosami, cie- mnymi., (myślę, bez niesmaku, mo- że farbowanymi, skoro ja karminu- ją usta? i... będę też farbowała wło- sy, jeśli te srebrne nitki teraz nie- widoczne (pomnożą się i zeszpecą mnie). Robię kilka kroków. Oskar podchodzi do mnie, witamy się i podczas, gdy materialna bliskość jego napawa moje ciało i duszę niepojętą sytością, mówię z uśmie- chem trochę skomplikowanym, dys- kretnie zalotnym, lekko wyniosłym, niedbałym a równocześnie najmil- szym:

— Przyszłam, bo muszę pana wre- szcie zapytać...

On bierze mnie szybko za rękę i prowadzi do taksówki:

— Proszę jechać ze mną! Mam tak dużo do załatwienia w Warsza- wie, a przyjechałem tylko na ty- dzień!

— A ta pani zła i piękna? — py- tam w pewnej chwili.

Oskar zwraca ku mnie twarz i mówi z pobłażliwym uśmiechem:

— Nie można kupić wszystkich pięknych obrazów!

— Ale są też rany, które goją się trudno! — powiadam ostrożnie i py- tając.

— Ale goją się ostatecznie. Trze- ba tylko cierpliwie czekać!

I znowu spotykamy się w kinie, w kawiarni, w ogrodzie i jak nie- gdyś błędniemy przy przypadko- wych dotknięciach rąk...

W spojrzeniu Oskara, gdy patrzy na mnie, pojawia się czasem błysk ostry, od którego przebiega moje ciało dreszcz, bierze mnie wtedy za rękę i mówi niskim, matowym gło- sem, do siebie raczej:

— Jak załatwimy tę sprawę de- finitywnie! Niestety i na szczęście trzeba czekać cierpliwie! Nie py- tam o nic! Po tygodniu odprowa-

dzam go na dworzec, z ustami nie- zaspokojonymi i cierpliwymi.

Oskar jedzie do Barcelony na długi czas. Cyfry naszych lat dobie- gały pięćdziesięciu pięciu, gdy pe- wnej nocy zbudziłam się oblana potem, z uczuciem śmiertelnego strachu: ujrzałam sypialnię Oska- ra w Barcelonie w znanym mi od- dawna jego domu, oplecionym pną- cymini różami. Przed obrazem Mado- nny płonie oliwna lampka, Oskar z twarzą bladą i znienioną leży na łóżku, nad nim pochylała się czarno- włosą dziewczyna, on trzyma ją za rękę, nieprzytomnymi oczami wpa- truje się w nią i szepta: „tylko ty jedna mogłabyś ukoić moją mękę. Jestem sam i bardzo chory, aniele, jesteś mi potrzebna!“

Rano spakowałam rzeczy i poje- chałam. Urok „wąskich uliczek“ Barcelony nie docierał do mego zdrętwiałego strachem serca. Nie zmieniwszy nawet podróznego ko- stiumu, poszłam do sypialni Oska- ra. Leżał wychudły pod cienkim okryciem, zdawało mi się, że śpi, ale gdy zbliżyłam się i pochyliłam nad nim, nie otwierając oczu, zna- lażł moją rękę opartą o krawędź łóżka i rzekł z wysiłkiem:

— Spodziewałem się pani, w tej chwili właśnie!

— Jestem zatem na czas! Co to za choroba?

— Wrzód na lewej piersi! Kar- bunku! — otworzył oczy i patrzył na mnie przenikliwie. Nogi ścięło mi przerażenie.

— Siostra - pielęgniarzka jest de- likatna — mówił z trudem — ale... — pomyślał — „palce, które doty- kają rany muszą być przesycane miłością, nie tylko środkiem anty- septycznym, aniele...“.

Skinęłam głową:

— To prawda! — rzekłam gło- sno.

Wtedy uśmiechnął się spalonymi gorączką ustami:

— Niebezpieczeństwo jeszcze nie

minęło! A czy pani wie, że to jest bardzo zaraźliwe? — powiedział —

Wzruszyłam ramionami i pomyślałam: „czy byś się wahał być ze mną, gdybym była chorą zaraźliwie?”

Teraz z kolei on odpowiedział głośno:

— Nie, aniele! Niech już tak zostanie, nie będę cię nazywał więcej „panią”. Dobrze?

— Od tylu lat mówiliśmy sobie „ty” — powiedziałam z uśmiechem.

Gdy siostra pielęgniarzka zabierała się do opatrunku, umyłam ręce i oznajmiłam po francusku:

— Teraz siostrzyczko, ja będę robiła opatrunki!

Szklisty rozogniony guz tkwił pod samą brodawką koło serca, gdy go dotykałam, dźwiałam z dziwnego wzruszenia, strachu i heroizmu (do heroizmu tak mało miałam zdolności).

Upalne, pachnące różami noce, schodziły mi na czuwaniu. Szelest liści w ogrodzie zdradzał tajemnice cudzej miłości. Czarnowłosa dziewczyna (służąca) skradała się pod otwartym oknem... czekał na nią co noc w ogrodzie jej chłopiec, roznośiciel pieczywa. Gdy dochodziła się, że „don” ma się lepiej, tańczyła przede mną w kuchni bolero albo rumbę tak właśnie, jak tańczył jej chłopiec.

Wreszcie Oskar wstał, pomagałam mu stawiać pierwsze kroki. Ślady choroby znikwały szybko, twarz i postać jego odzyskiwały swój dawny urok. Patrząc na niego i na siebie w lustrze, myślałam: „gdy ludzie dochodzą do cyfry pięćdziesięciu pięciu lat, mówią: jesteśmy starzy!” My, tj. Oskar i ja, nie czujemy starości; ciała nasze są gibkie, oczy pełne światła, dusze młode. Jesteśmy wciąż ładni, inaczej jak w latach dwudziestu, ale nie mniej ładni; mamy suche, ciemne twarze o ostrych zagłębieniach, uwydatniających mądrość, którą nagroma-

dziliśmy w długim życiu... Kość zębów jest lśniąca, skóra cienka i elastyczna, nie znamy utrapień ludzi, którzy dźwigają na sobie obwisłe wory z tłuszczem i mięsem, nasze chude wytrwale członki poruszają się łatwo i żywo, włosy gęsto przetykane srebrem mieniają się, jak łama, regulujemy je czasem na jednolitą ciemną barwę.

W naszej miłości cielesnej jesteśmy surowi i silni, w nierozłączności duchowej przeczuwamy wieczność.

Pewnego dnia Oskar powiedział, pieszcząc moją rękę:

— Teraz załatwimy tę sprawę definitywnie. Jestem nareszcie całkiem wolny, ty jesteś także wolna! Weźmiemy ślub w najbliższych dniach! Tak będzie najlepiej!

— O! tak będzie najlepiej! — powtórzyłam błędnie. — Wobec tego muszę pojechać natychmiast do Warszawy i likwidować moje interesy!

— Zrobisz to po ślubie! — nalegał.

Nie, nie mogłam odłożyć wyjazdu. Z Warszawy wyjechałam nagle i zostawiłam mnóstwo rozpoczętych spraw. I właśnie czekali na nie moi biedni, którymi się opiekowałam, poza tym musiałam być tymczasem niezależną materialnie.

Oskar, chcąc nie chcąc, uległ ostatecznie, bo nie był jeszcze dość silny, żeby jechać ze mną.

— Będzie mi ciebie tak bardzo brakowało, aniele! — mówił przy pożegnaniu.

Gdy nareszcie uporałam się w Warszawie ze wszystkim i przygotowywałam do wyjazdu do Barcelony, na świat runęła straszna wieść o rozpoczęciu się wojny domowej w Hiszpanii. Nie wiedziałam co mam robić. W chaosie zatracił się kontakt między nami. Czasem w nocy tylko budziły mnie plastyczne, rozpaczające przepojone słowa Oskara: „fatalnie się stało, najdroższa, że wyjechałaś, trudności piętrzą się!...”

Moje załamanie psychiczne osłabiło zdolność wysyłania myśli. Czuję się zupełnie bezradna, gdy dostalam list, pierwszy list od Oskara; pisał krótko:

„Najdroższa! Zewnętrzność i nasze porażenie duchowe przeszkadzają nam w zwykłej formie porozumienia, muszę więc posłużyć się formą materialną. Przyjazd twój na razie niemożliwy. Ufaj mi i czekaj! Dam znać!”

Upływały miesiące, lata... W zniszczeniu, ogniu i krwi braterskiej zaprzepaszczał swą żywotność, kulturę i piękno naród, który nie umiał spojrzeć trzeźwo na swą rzeczywistość, dostrzec w niej przyszość i powstrzymać katastrofę naturalnymi przeciwnymi niebezpiecznych wrzodów organizacyjnych w rządzeniu.

Coraz rzadziej miewam wiadomości od Oskara. Czekam na nie w męce beznadziejnej tęsknoty. Czasem przychodzą zniechęca, najczęściej w nocy, urywki zdań, których nie rozumiem. Listów więcej nie otrzymuję, nigdy nie lubił pisać listów, ale może mimo to pisać, a one giną w drodze. Wiem, że Oskar pracuje, widzę go niekiedy w szybkim przeblysku, w pokoju wielkim, obstawionym żelaznymi szafami z biurkiem zawalonym papierami, obok którego wisi tablica z dzwonkami. Do pokoju wchodzi często ludźle o różnym wyglądzie. Ile razy usiłuję przeniknąć istotę tej pracy, nużę się i zatracam wątek logiczny w dociekaniach, a Oskar mi nie pomaga, wiem tylko, że to nie jest jego praca zawodowa — mam pewność, że to czym się zajmuje teraz jest szlachetne i wielkie, mam przebliski świadomości, że to jakaś akcja podjęta dla dobra Hiszpanii. Biorę często do rąk dziennik z nadzieją, że może znajdę w komunikatach z Hiszpanii jego nazwisko, choć nie wiem, czy już teraz można się tego spodziewać, bo mo-

że akcja jest tajemnicą... Jest już rok 1939 początek stycznia; oblegana Barcelona dyszy resztką sił, które zdają się gasnąć przed każdym następującym momentem, lecz jak w agonii, najniespodziewaniej, utrzymują się w trwaniu. Miasto niszczone nalotami, głodem, zarazą, stało się sceną dla nieustannych, koszmarnych widowisk...

Od Oskara nie otrzymuję żadnych wiadomości. Często nocami budzę się, złana potem, dławiona strasznymi przeczuciami... Moja zdolność posyłania i odbierania myśli zatraciła się zupełnie w tym napięciu; prześladują mnie tylko zjawy obrazów strasznych; widzę Oskara zalanego krwią, nieprzytomnego, albo wynędzniałego, wyczerpanego głodem, lub umierającego od zarazy w męczarniach i bez ratunku, albo trupa wleczonego do wspólnego dołu... Ponieważ obrazy są różne, dochodzę do wniosku w chwilach odprężenia, że są auto-sugestywne i fałszywe, wtedy odzyskuję równowagę.

I oto piątego stycznia otrzymuję depezę: „Przyjeżdżam, wyjdź do międzynarodowego ekspresu; godzina piętnasta, siódmy styczeń”.

Doznaję dziwnej radości, uroczystej i cichej; nie ma w niej nic ziemskiego. Liczę dni, a potem godziny. To już dziś! Od chwil, które tak tragicznie unicestwiły moje szczęście, przestałam liczyć cyfry naszych lat i zajmować się moim zewnętrznym wyglądem, patrzę więc z niepokojem w lustro i stwierdzam, że mimo wszystko, nie wiele zmieniłam się; ta sama twarz bardzo szczupła o cerze ciemnej, z pełnymi ustami i oczami błyszczącymi, z siecią subtelnych zmarszczek i ostrymi zagłębieniami, które zaostwiają kontury, lecz nie naruszają harmonii budowy. Karmię lekko usta, reguluję kolor włosów na ciemny... jeszcze trochę perfum i za parę minut włożę fu-

tro; modny fason i lśniąca polyskliwość fok, nadają dyskretną elegancję sylwetce mej, która z daleka ma wciąż jeszcze pozór cyfry lat dwudziestu kilku. Wychodzę już!

Muszę zanotować w moim podręcznym notesie, co zdarzyło mi się w drodze na dworzec; nie ważnego lecz coś, co dobrze wpłynęło na moje samopoczucie: szłam piechotą i gdy przechodziłam jezdnię, młody rowerzysta zawołał ze śmiechem: „na bok panienko”, a gdy mijaliśmy się i ja umyślnie spojrzalam mu z bliska w twarz z uśmiechem, on nie zmienił swawolnego wyrazu twarzy, tylko zalotnie pokręciwszy głową krzyknął: trzeba uważać! Krótka woalka wprowadziła go w błąd... A może naprawdę starzenie się można ujarzmić siłą wielkiej woli?

Czytam jeszcze raz rozkład jazdy; jest czternasta minut piętnaście... Za czterdzieści pięć minut zobaczę Oskara! Czuję dziwną potrzebę pisania moich wrażeń, mam jeszcze dużo czasu; to czego doznaję jest niezwykle: oto gdy uzmyslam sobie chwile ujrzenia Oskara, serce zamiera mi na mgnienie! w pracy, ale nie z radości, lecz z ostrego bólu i jakby bezbrzeżnego smutku, gdy usiłuję zobaczyć Oskara, widzę w sobie tylko świetlistą, błękitną mgłę... Czternasta minut dwadzieścia siedem; pójdę już na tor.

Piętnasta! Na stację wjeżdża międzynarodowy ekspres. Ogłuszające szczykanie żelaza, pociąg rwie z wzmożoną szybkością, potem zwalnia z trudem.

Wytworna pani w fokowym futrze rzuca na tor notes (w którym pisała, stojąc na torze, jak zeznał później, obserwujący ją mimowoli funkcjonariusz kolejowy) przez mgnienie zastygła w bezruchu, po-

czem rzuca się pod pędzący ekspres.

Podjęta przez koło miłośników badań zjawisk metafizycznych (poza policją) uciążliwe badania w związku z wypadkiem przejechania przez międzynarodowy ekspres Elżbiety Tarecznu, wdowy po przemysłowcu, dały rewelacyjne wyniki; oto fakty zgadzały się ściśle z zapisanymi przed śmiercią, przez samobójczynię szczegółami w notesie rzuconym przez nią na tor.

Według tych zapisków zgadzał się ściśle, wraz z szczegółami, moment, w którym zginął w Barcelonie architekt Oskar Rozostowicz, Polak, który mieszkał kilka lat tam i przeżyty tragicznym iosem Hiszpanii, podjął wielką pracę, mającą na celu pogodzenie powaśnionego narodu, mianowicie: redagował tygodnik dla Hiszpanii i zagranicę (w kilku językach) w którym umieszczał płomienne artykuły o gojącej treści, wspaniałymi, gorącymi przemówieniami, bądź publicznymi, bądź poufnymi, poruszał do głębi sumienia przewodców partii, wszelkich odłamów i na różnych stanowiskach, decierając do najwyższych itd.

Jako wybitnie zasłużony dla kraju cudzoziemiec, miał wszędzie wstęp i wykorzystywał to zbawczo dla Hiszpanii, jakkolwiek w rezultatach pozornie znikomych na razie, które działały jednak silnie, w nurcie dziejów, ukrytym powodując dużo dobrego. Ofiarował na to cały swój ogromny majątek.

Dalszy ciąg zapisków w znalezionym na torze notesie Elżbiety Tarecznu...“ nie chcę, żeby ktoś niewinny odpowiadał za wypadek, dlatego notuję jeszcze to; pismo moje będzie nieczytelne ale, ci, którzy będą je czytali ocenią moją dobrą wolę; otóż gdy stanęłam na torze, na który za minut trzydzieści

miał przyjść expres międzynarodowy, uczułam nagle silny zawrót głowy, w trakcie tego ujrzałam wstrząsający obraz: szeroka ulica zburzonego miasta, ogarnięci paniką ludzie pędzą w popłochu i kryją się w bramach; nalot bombowy. Z poza ciężkiej bramy ogromnego gmachu wychodzi mężczyzna. Oskar! widzę go doskonale, jest taki sam jak przed kilkoma laty, prawie młody i pelen czaru; przyśtaje w bramie, słyszę wyraźnie czuły głos: nie mogłem, aniele, wyjść wczoraj! Nie czekaj, dam znać!

Serce zamiera mi z nieprzeżywanego dotąd nigdy wzruszenia...

Nagle rozlega się głuchy trzask, widzę błysk ognia, brama z łoskotem wali się, mur sypie się, lecą cegły, równocześnie widzę jak Oskar trafiony w skroń odłamkiem żelaza, czy drzewa, znika pod gruzami. W trakcie tego, słyszę przenikliwy, nakazujący głos Oskara: „chodź ze mną, aniele!” Odpowiadam żarliwie, całą moją istotą; „zaraz przyjdę najdroższy!”

Wracam do rzeczywistości; tor pusty; patrzę na zegarek; czterdzieści minut! Rozumiem co się stało, obraz był zbyt czysty i plastyczny, żeby mógł być fałszywy. Oskar zginął. Urodziliśmy się w tym samym roku, tego samego dnia, on o pół godziny wcześniej ode mnie. Wezwał mnie! Nie mogę

BÓLE

ARTRETYCZNE
REUMATYCZNE
PODAGRYCZNE

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, słoty i niepogody. Nieznośnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzmienia, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Cierpienia te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykują do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnętrzny lek „UREMOSAN“ GĄSECKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą, ischiasem, kamicią nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMOSAN“ GĄSECKIEGO
do nabycia w aptekach

mu dać czekać na siebie dłużej niż te pół godziny! Po to widocznie przyszedł na tor! Księga przeznaczeń zamknięta! Myślę, że i to dzieje się z Twojej woli, dobry, mądry i wszechwiedzący Boże! A jeśli nie, zrozum mnie i przebacz!

MARIA ZWARYCZOWSKA

Czytajcie!

„Tygodnik Ilustrowany“

Rozrywki umysłowe

pod redakcją Zygmunta Boniowskiego

OD REDAKCJI DZIAŁU

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 15 kwietnia r. b. z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe”.

Do rozwiązań należy wyciąć i dołączyć kupon.

Za bezbłędne rozwiązanie zadań redakcja przeznaczona nagrody książkowe.

Przypominamy, że z obecnym numerem kończy się pierwszy konkurs wytrzymałości. Biorą w nim udział Czytelnicy, którzy rozwiązali zadania z Nr. 177, 178 i 179.

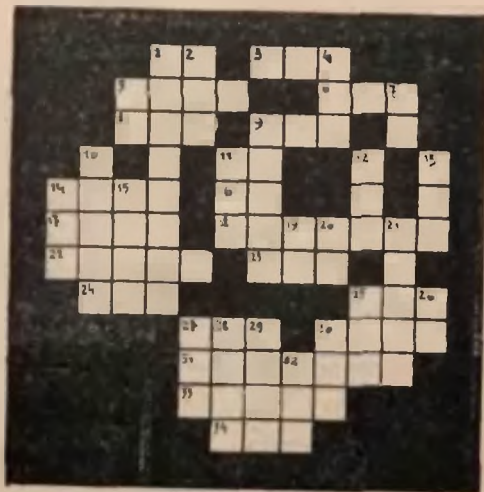
1. KRZYŻÓWKA

POZIOMO:

1. Litera grecka. — 3. Nie tutaj. — 5. Zwierzęta kręgowce zimnokrwiste. — 6. Niski głos kobiecy. — 8. Zaimek. — 9. Zwierzętko domowe. — 11. Jezioro w Afryce. — 14. Pali się! — 16. Miara powierzchni. — 17. Miasto w Algierii. — 18. Twarda powłoka. — 22. Miasto w Japonii. — 23. Góry na Krecie, albo imię żeńskie. — 24. Obydwa. — 25. Kwiat. — 27. Liczebnik. — 30. Macie ją przed sobą. — 31. Nimb. — 33. Roślina drzewiasta o pniu już od dołu rozgałęzionym. 34. Róża nierozwinięta. —

PIONOWO:

1. Młoda panna, dziewczyna. — 2. Jak nr. 23 poziomo. — 4. Wyrażenie szachowe. — 5. Zaimek. — 7. Nie inna. — 9. Zatycki do butelek. 10. Miejsce spacerowe. — 11. Zaimek. — 12. Rodzaj antylopy afrykańskiej. — 13. Imię żeńskie. — 14. Kolonia portugalska (a=0). — 15. Miasto węgierskie. — 19. Przymek. — 20. Egipskie bóstwo słońca (mit.). — 21. Miejsce do spaceru nad morzem. — 25. Owad żyjący w futrze. — 26. Litera (fonetycznie). — 27.



Przyrząd do łowienia ryb. — 28. Rzeka polsko-rumuńska (wspak). — 29. Uprawiam ziemię. — 30. Miara czasu. — 32. Sędzia w piekle (mitol.).



2. PIĘCIO-KWADRAT

I. KWADRAT.

POZIOMO:

1. Kalif arabski (634—644). — 2. Maria po angielsku. — 3. Mieszkaniec Arabii. — 4. Zwierzę kręgowce, żyjące w wodzie. —

PIONOWO: tak samo.

II. KWADRAT.

POZIOMO:

1. Apetyt, chęć, pragnienie. — 2. Matka. — 3. Bózek miłości, kupidynek. — 4. Ukaranie. —

PIONOWO: tak samo.

III. KWADRAT.

POZIOMO:

1. Chód, stąpanie. — 2. Formuła. — 3. Cesarz niemiecki (983—1002). — 4. Krawędź, brzeg, róg. —

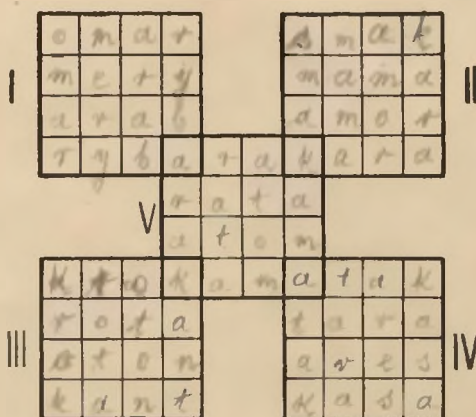
PIONOWO: tak samo.

IV. KWADRAT.

POZIOMO:

1. Natarcie, napad. — 2. Waga opakowania towaru. — 3. Grecki bóg wojny. — 4. Miejsce do przechowania pieniędzy. —

PIONOWO: tak samo.



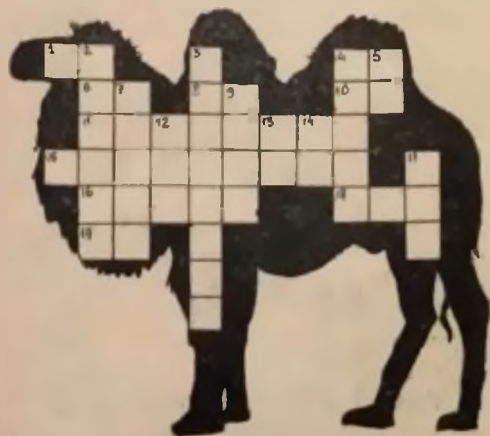
V. KWADRAT.

POZIOMO:

1. Napój alkoholowy. — 2. Częściowa wypłata należności. — 3. Najdrobniejsza częśćka. — 4. Indyjski bózek miłości. —

PIONOWO: tak samo.

3. KRZYŻÓWKA



POZIOMO:

1. Rak bez głowy. — 4. Aleksander. — 6. Początek alfabetu. — 8. Miasto biblijne. — 10. Nuta. — 11. Tam żyje wielbłąd. — 15. Pustynia azjatycka, ojczyzna wielbłąda dwugarbnego. — 16. W podeszłym wieku. — 18. Może być wyścigowy, kolejowy i t. d. — 19. Zaimek. —

PIONOWO:

2. Jarzyny (ciąg dalszy Nr. 19 por.). — 3. Budowle podziemne. — 4. Kochanek. — 5. Miara chińska. — 7. Bok łodzi. — 9. Charakterystyki. — 12. Spółka. — 13. Końcowy „talent”. — 14. Dwie litery słowa „miara”. — 17. Papuga. —

4. WIZYTÓWKA

Y. LOT-TURNOWSKI

GDYNIA

Przestawiając litery wizytówki podanej obok, odczytać tytuł czasopisma jakie czyta ten pan.

K u p o n N r. 179
„Rozywek umy-
słowych”
N. 3.

1. KRZYŻÓWKA.

1. Strach ma wielkie oczy. — 9. Tryby. — 10. Od. — 11. Ramona. — 13. Wal. — 14. Aty. — 15. Auto. — Sw. — 17. P. — 18. Tok. — 19. Zataimowane. — Y. — Al. — 22. Rata. — 23. Dymek. — Ru. — L. — T. — Or. — 26. Raz. — 27. Opowiadamy

2. NIBY - SZARADA.

Naokoło świata

3. KRZYŻÓWKA.

1. Sport. — 5. Pod. — 7. Sa. — 9. R. — 10. Ar. — 11. Roman. — 13. Łyżwy. — Łód. — 17. As. — 18. E. — B. — 19. As. — 20. Oba. — K. — 21. Śnieg. — 24. Na-
na. — 25. — Angora. — 26. B. — 30. Ie. — 31. Ir. — A. — 27. Zima. — L. —
32. Abel. — 33. Ara. — 34. Ul. — 36. Kanada. — 37. Bałog. — 41. Ona. — 42. Apo. —
44. Ono. — 45. Om. — P. — 47. Tarok. — 49. Harrar. — 51. Arka. — 52. No. —
53. Un. — Y. — Ó. — N. — I. — 54. Aj. — 55. Na. — 56. — Bez. — 58. Et. —
59. Era. — 60. Staw. —

4. LABIRYNT.

Niema złej drogi do mojej niebogi. —

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie zadań z Nru 177, nagrody otrzymują następujące osoby.

1. Janina Laskowska — Wisła.
2. Zdzisław Wiatr — Skarżysko-Kam.
3. Mieczysław L. Borkowski — Warszawa.

Nagrody rozesłane zostaną pocztą.

Na straży wielkich tradycji

W walce o wielką przyszłość

**rodzimego życia ducho-
wego i kultury polskiej**

**NAJSTARSZA ILUSTRACJA POLSKA
TYGODNIK ILLUSTROWANY**

wchodzi w 80-y rok swego istnienia

Adres wydawnictwa: WARSZAWA, ZGODA 12